

Na taflí szkła

Gwiazda jest elementem złączonym ze sprawą, którą na ziemi rozstrzyga walka. Jest elementem koniecznym aby na jedną stronę zbiegły twory fantazji bezkrwiste i niepotrzebne nikomu, na drugiej znalazły ujście produkty rozumu: miary, kruszce i ornamenty użytecznej równowagi.

Poezja trwa na pierwszej stronie. Zalamuje lodowate palce, miesza się z oddechem cudzych włosów, z pomrukiem ziemi, którą wstrząsa planeta, ze łzą chłopca dojrzalego w czasie wojny, z konwulsją i śmiechem ostatecznym, z wydrążonym ciałem umarłych, z tradycją umierania której nie przewycięży płomień gwiazdy.

Żarnowski las

W zielonych trawach ślady stopy młodzieńczej jeszcze nie zetlały i gdy czas przeszły gonil, tropil żdźbła trawy śpiwnie zasumiały i w szumie aromatów kwiatnych, kiedym zaprzestał już pogoni, odnalazł się poranek letni dalszy niż brzegi Patagonii.

Jak przez taflę szkła wpół-przejrzystą przypatrzyłem się innej rzece okolonej zieloną listwą łąk drgających w słonecznej spieczę.

Wyciągnąłem ręce by ująć dłoń dziewczyny, której nie było i powietrza słup obejmując ustyszałem jak się odbiło od zielonej membrany lasu dawne echo, jak gdyby miłość uwolniła się z więzów czasu.

Zakrzyknąłem: — to ja, ten sam, jak mnie słyszysz i widzisz — trwam w lesie, który do cna się zwęglił. Z wyobraźni na rzece kręgi rozciągają się, póki prąd nie wygładzi powierzchnię rzeki. Matowieje daleki łąd jakbym patrzył nań przez powieki. I gdy wołał, mój tęskny krzyk w szept się zmieniał za to, żem szukał wrót przez które nie przeszedł nikt choćby łzami Saharę splukał.

Jak przy zbombardowanym moście stoję na ścieżce do młodości...
1954

Rys. L. Tyrowicz

należeli dziewczęta i chłopcy, którzy — jakby zapominając o decydującym momencie życia — maturze, zapatrzeni przed siebie, deklamowali z przejęciem puszkinowskie strofy:
„W głębinie syberyjskich rud
Wytrwajcie dumni, niezawisli,
Nie zginie wasz bolesny trud
I lot wysoki waszych myśli”.

Wzruszenie udzielało się profesorom, podnosili z nad stolików głowy dziewczęta przygotowujące się do odpowiedzi.
Słuchałem chłopców, którzy swobodnie analizowali typy metafory, niezwykle bogactwo języka „Pana Tadeusza”, aby dowieść, że tylko głęboki patriotyzm, szczerą miłość ojczyzny — mogły podkładać poecie tak wspaniałe, realistyczne obrazy przyrody. Notowałem w pośpiechu wypowiedzi wskazujące na zrozumienie istoty związku pomiędzy dojrzałością języka pisarza a postępowym charakterem jego twórczości.

Nie chodzi zresztą o przykłady, choć ciska się one pod pióro tym silniej, że ilustrują zjawisko niezwykle radosne. Literatura przestaje być w szkole młodszym bracijskim Nauki o Konstytucji czy historii. I dlatego, zapewne nieporadne jeszcze, uwagi „od siebie”, w miejsce referatu o sytuacji społeczno-ekonomicznej w dobie imperializmu, świadczą, że młodzież dopracowuje się wreszcie własnych, nieklamanych poglądów na dzieła literackie.

Poruszył mnie do głębi fakt niemożliwy do zanotowania jeszcze rok temu. Natrafiłem na kilkanaście wypracowań maturalnych niezwykle osobistych, w których młody chłopiec czy dziewczyna określał własny, niezapomniany z podręcznika stosunek do pisarza. Bez tego osobistego, intymnego stosunku do pisarza, bez indywidualnego przeżycia utworu — trudno mówić o jakimkolwiek sukcesie wychowawczym w nauczaniu literatury. I dlatego, zapewne nieporadne jeszcze, uwagi „od siebie”, w miejsce referatu o sytuacji społeczno-ekonomicznej w dobie imperializmu, świadczą, że młodzież dopracowuje się wreszcie własnych, nieklamanych poglądów na dzieła literackie.

Pokaż swoją twarz, nauczycielu!

Przytrafiła mi się równie zabawna, co i pouczająca przygoda. Nauczyciel zapy-

tał o cechy realizmu socjalistycznego. Kiedy je uczennica sprawnie wyrecytowała, trochę jak pacierz powtarzany za panią matką, zauważyłem, że młody polonista wykalkulował piękną piątkę, której brakowało jedynie „ogonka”. Postawiłem pytanie dodatkowe. Chodziło mi o analizę cech realizmu socjalistycznego na konkretnej książce. Obserwowałem nauczyciela. Kiedy uczennica milczała przez dłuższą chwilę — przekreślił ową piątkę bez ogonka i wykalkulował czwórkę. Jeszcze chwila milczenia — zamienił ją na trójkę, spoglądając na dyrektora i na mnie. Dziewczyna jednak podniosła głowę i dołączyła do wykładu walkę „starego z nowym” w gorkowskiej „Matce”. Trójkę zmieniła się na czwórkę, a następnie — piątkę z ogonkiem, kiedy maturzystka przeanalizowała na przykładzie Szczęsnego konieczność ukazywania człowieka w jego rozwoju.

Nie ulega wątpliwości, że młody nauczyciel zachował się niczym przyszłowiowy struś. Oglądając się na dyrektora i „czynniki”, które miałem zaszczyt reprezentować — chował swoją twarz, tracił po prostu samodzielność w ocenie kilkuletniej pracy z uczniem. Nie bał się na sprawę.

Każdy, kto czytał pamiętniki Żeromskiego, wie, ile wielki pisarz zawdzięczał swemu polonistce — Bemowi. Miały lata ciężkich doświadczeń, sytuacja życiowa Żeromskiego zmieniała się jak w kalejdoskopie, a jednak dawny uczeń wciąż wspominał swego wychowawcę, do końca życia był mu wdzięczny za kilka lat nauki. Ta wieloletnia przyjaźń wypływała stąd, że profesor Bem, niezapomniany klerykowski polonista sprzed kilkudziesięciu lat — odśladzał w pracy z młodzieżą swoją twarz, posiadał własny, sugestywny pogląd na literaturę i dlatego porywał młodzież. Oto czego brak wielu naszym nauczycielom!

Zle czynią poloniści, kiedy „nie wychylają się” poza podręcznik, kiedy lękają się „przegięcia”, szukają na siłę „wydźwięku”, kiedy nie przekazują młodzieży tego, co im naprawdę serce dyktuje. Marksizm żąda prawdziwie naukowej, jednoznacznej ideowo oceny dzieła literackiego — to prawda. Ale równocześnie zabiega o jak największe (dokonczenie na str. 2)

Kłopoty

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Nr 5 Rok I

ŁÓDŹ, 1-15 LIPCA 1955

Cena zł 1.20

WIESŁAW JAŹDŹYŃSKI

MATURZYŚCI

AMIĘTAM dokładnie, że „Zakon rycerzy błękitnych” powstał w kieleckim liceum wiosną 1939 roku. Dobiegaliśmy właśnie matury. Jego honorowym założycielem był Stefan Żeromski, niegdyś uczeń naszej starej, wiekowej szkoły. Rozgrzani do czerwoności lekturą „Ludzi bezdomnych”, pragnęliśmy odegrać rolę Judymów w wojewódzkim miasteczku, gdzie — jak wszędzie — nie brakowało zwykłej ludzkiej nędzy. Zło społeczne przezwyciężaliśmy w bardzo prosty sposób. Dawaliśmy korepetycje zamożnym leniom, pieniądze szły do wspólnej kasy. Z owymi złotówkami w garści wędrowaliśmy na przedmieścia — Barwinek czy Pakosz, wciskaliśmy je w ręce bezrobotnych. Przy takiej okazji odbywał się z reguły — „wieczór autorski”. Któryś z poetów, a było ich 4 na 6 członków Zakonu, odczytywał wiersze, „na pokrzepienie”. Prowadziliśmy w ten sposób akcję podwójnego zbawienia — materialnego i moralnego. Rycerze błękitni wyrzekali się wszelkiego dobra ziemskiego — pieniędzy, zbędnej odzieży, butów, a nade wszystko... szczęścia osobistego. Nasza działalność „romansowa” była więc dosyć żywa, ale tylko dlatego, by kochać i natychmiast rozstać się gdzieś na Karczówce, w cieniu starych sosn, okrywających średniowieczny klasztor. Zlamaliśmy niejedno serce, gładziliśmy z naszego powodu klerykowskie Joas'e! Stan ten miał trwać dłużej, dopóki — jak głosił nasz krwawy podpisany statut — „nie wyschnie ostatnia łza w oczach cierpiącego człowieka”.

Zakon rozwiązał nieoczekiwanie prefekt. Siedziałem na nieszczęście w pierwszej ławce. Książd odgiął któregoś dnia kłapę mojej marynarki i zawołał triumfując: „Oto oko opatrności odkryło żydo-komunę-masonerię!” Nosiłem pod kłapą istotnie magiczny znak Zakonu — żółty trójkąt z masy w czerwonym kole. Była to reklamowa wpinka znanej przed wojną fabryki wełny i włóczki, o kabalistycznej nazwie — „Trójkąt w kole”. Okiem opatrności był nasz klasowy donosiciel, któremu udało się jakoś odkryć istnienie Zakonu. Zdybaliśmy go w parku, nad

nieuregulowaną rzeczka, podobnie jak pokolenie Borowiczów i Radków donosiciela — profesora Majewskiego, no i przez tydzień epoczywał w łóżku. My zaś czuliśmy się spadkobiercami starszych kolegów z okresu „Syzyfowych prac”.

Nie przypadkowo osaczyli mnie te wspomnienia. Wybierałem się na tegoroczne matury, pełen rozmaitych niepokojów. Prasa biła na alarm. Łastik wykladał rzeczowo w „Nowej Kulturze”, że w szkole jest źle, nauczyciele kaleczą literaturę, zaprzeczając jej piękno. Tasarski w „Przeglądzie Kulturalnym” stwierdzał, że trudno w ogóle mówić o wychowaniu estetycznym młodzieży. Młodzi nie przeżywają literatury, uczą się jej jak matematycznych reguł.

Czyżby tak było? Czy rzeczywiście zgubiliśmy w naszym 10-leciu ów najbardziej humanistyczny, najbardziej wychowawczy proces, jakim jest prawdziwe przeżywanie literatury? Proces, który nasycił młodzieńcze lata szlachetnymi ambicjami walki z wszelakim złem. Czyżby istotnie wbrew najpiękniejszej tradycji naszej szkoły — literatura utraciła swoją wychowawczą moc nad młodzieżą?

„Ideologicznie nieprzemakalni”

W alarmujących głosach Łastika i Tasarskiego jest niemało prawdy. Oto siedzi przede mną 17-letni maturzysta i łamie sobie głowę nad tematem: „Opis przyrody w „Panu Tadeuszu”, jako wyraz tęsknoty poety do ojczyzny”. Chłopak duka, że Mickiewicz opisał nadniemeński pejzaż, puszcę, kilka zachodów słońca, owszem, dosyć ładnie... Wreszcie nie wytrzymuje i pyta: — Wolalbym jakieś inne pytanie. — A jakie? — Takie ideologiczne, przynajmniej wiadomo o co chodzi...

Przejrzałem jego wypracowanie maturalne. Pisał na temat „Umiłowania człowieka i sprawy ludzkiej w twórczości Stefana Żeromskiego”. Cytuje wstęp:

„Wśród pisarzy okresu imperializmu na plan pierwszy wysuwa się Stefan Żeromski... Utwory Żeromskiego obnażają nikczemność metod gospodarki kapitalistycznej. Żeromski ostro piętnuje zarówno obszarników i burżuazyjnych inteligentów, jak i dorobkiewiczów bogacących się kosztem robotnika i chłopca...”

I tak przez kilka stron. A więc nie brak w naszych szkołach młodzieży „ideologicznie nieprzemakalnej”. Chłopiec szczerze opancerzony powioką frazesów, sloganów politycznych, nie posiada w mózgu ani jednej tkanki, najmniejszych nawet naczyń włoskowatych, przepuszczających choć odrobinę piękna, czy zwykłego ludzkiego wzruszenia nad losami bohaterów Żeromskiego. Powiada, kiedy dostał upragnione pytanie ideologiczne, że Krasiński „leży na płaszczyźnie postępowej”, gdyż gromi „reakcyjną część kleru”. Wyjaśnia przy okazji, że kler — podobnie jak dziś — był rozwarstwiony na kszepę patriotów, do których należał biskup warmiński, i wsteczników czyli „reprezentantów metafizyki”. Nie zna konkretnie żadnego właściwie tekstu, o „Monachomachii” powiada tylko tyle, że była pisana „wierszem humorystycznym”.

Nie brak właściwie w żadnej szkole młodzieży, która pisze w ten sposób: „Wraz z pogłębieniem się wyzysku, nędzy, proletariatu miejskiego i chłopów, wzrasta niekwestionowanie, do tych, którzy wysysają krew ludu, aby napędzić swoje nigdy nie mające dna kiesy zyskiem z pracy rąk poddanych”. Wygląda to na cytaty z przemówienia na szczeblu powiatowym, a jest, niestety, fragmentem wypracowania maturalnego, genezą twórczości Żeromskiego.

Serce się doprawdy kraje, kiedy pomyśleć, że na lekcjach literatury przepływa przez młodzież, powtarzając za Krasińskim — „strumień piękności”, a równocześnie szczerzy pancerz politycznych formulek, uproszczonych ocen socjologicznych uniemożliwia emocjonalne odczucie tekstu. Tacy „nieprzemakalni” to prawie kaleki, nie wiedzą, co to są przeżycia związane z poezją Tuwima czy Broniewskiego, nie znają atmosfery namietnej dyskusji. Wyprawy do parków, za miasto, by w ciszy odczytywać wiersze Mickiewicza, wydają się im bzdurą, niebezpiecznym „odpolitycznieniem” literatury.

W czasie matur doszła moich rąk kartka, prawdopodobnie konspekt głównych problemów literackich. Znalazłem tam coś w rodzaju matematycznego wzoru na twórczość Prusa,

gdzie? — Lalka, Aniellka = nurt postępowy
co? — przeżyłki feudalne

Oto jeszcze jeden przykład zaniku specyfiki literatury, sprawozdania jej do roli niezbyt ważnego komentarza dziejów polityczno-ekonomicznych. Prosta rzecz — kiedy nie ma specyfiki przedmiotu nauczania, to i samego przedmiotu być nie może. Jest natomiast coś w rodzaju osłabionej apteki. W dużych słojach, wypełnionych formułą, pływają sobie pisarze. Każdy słolik posiada etykietkę z napisem: „postępowy”, „antyfeudalny”, „nie widzi przodującej roli proletariatu”, „realista z pęknięciem ideologicznym”, „klasowo ograniczony” i inne „rzeczy złe i zdrożne”, o których książki już mówią nabożnie. Mam tu na myśli książki naszych krytyków literackich.

Wszystko to prawda, lecz czy można powiedzieć, że tego rodzaju sytuacja panuje całkowicie w naszych szkołach?

„Wytrwajcie dumni, niezawisli”...

Nie spotkałem wprawdzie w żadnej szkole odpowiednika „Zakonu rycerzy błękitnych”, jestem jednak przekonany, że rok bieżący przyniesie wyraźny przełom, zasadnicze, choć może nie powszechne jeszcze, zmiany na lepsze.

W salach egzaminacyjnych, obok „nieprzemakalnych” nie do rzadkości



Czesław Sadowski — Martwa Natura

Z wystawy wiosennej ZPAP

Kalendarz chirurga

ODWIEDZIŁEM niedawno jednego z znajomych, człowieka, który skończył parę lat temu studia z pasją i przejęciem pracuje w wybranym zawodzie. Rozmowa nie kleiła się jakoś — trudno nam było znaleźć temat, który zaciekałby nas obu. Wydawało mi się rzeczą zgoła nie-normalną, że gospodarz mój — przedstawiciel naszej młodej inteligencji — ma bardzo ograniczone rozeznanie w sprawach kultury; korzystając z przywileju starej znajomości powiedziałem mu wprost, co myślę o takich wąskich specjalistach, obcych humanistycznemu widzeniu życia, obojętnych na wieloraki obraz człowieka ukazany w sztuce.

W odpowiedzi gospodarz uśmiechnął się lekko i położył przede mną otwarty kalendarz. Rubryki przeznaczone na czerwcowe notatki były tam dość gęsto upstrzone zapiskami, które nie mówiły mi nic, jako że miały charakter umownych skrótów. Poprosiłem o wyjaśnienie i notuję je tutaj, gdyż sądzę, że trzeba to zrobić.

Oto jak wygląda tydzień młodego chirurga. Środa: od 8 do 13 normalne pięć godzin pracy w szpitalu, potem, w tymże szpitalu dyżur, który kończy się w czwartek o 8. Czwartek: od 8 do 13 normalne pięć godzin pracy w szpitalu, godzina wolna i od 14 dyżur w pogotowiu trwający do 7 rano w piątek. Piątek: od 8 do 13 znowu szpital, po czym — czas wolny na naukę, lekturę lub teatr czy kino, ale człowiek wyzerpany 53-ma godzinami nieprzerwanej pracy zużytkowuje owo piątkowe popołudnie na sen i nie ma w tym nic dziwnego. Sobota: od 8 do 13 szpital, a następnie luksusowa wprost ilość wolnych godzin, bo dwudziestoczworogodzinny dyżur świadczy o wolnej niedzieli — hulać dusza bez kontusza. Ponieważ jednak zbyt długi odpoczynek mógłby przyczynić do lenistwa, o 8 w niedzielę zaczyna się normalna praca szpitalna, zaraz potem przychodzi znowu dyżur w szpitalu, trwający do 8 we wtorek i zaraz potem pięć normalnych godzin szpitala tak, że znajomy mój wraca do domu dopiero we wtorek o 13. Środa natomiast jest dniem omalże próżniaczym — przypada na nią jedynie szpital od 8 do 13.

Dajmy jednak spokój żartom. Sprawa jest zgoła poważna, niezależnie od tego, że omówiony tu tydzień to przykład szczególnie jaskrawy. Sprawa jest poważna szczególnie wówczas, gdy dowiadujemy się, że młody człowiek, który chirurg, któremu w 50-tej godzinie nieprzerwanej pracy przynosi na stół operacyjny trudny, wymagający parogodzinne naciężenie wszystkich sił i umiejętności, przypadek — to znaczy: chorego człowieka. Sprawa jest nie tylko poważna, ale i dramatyczna, bo zmaganie się lekarza z własnym zmęczeniem, walka o zachowanie maksymalnej sprawności umysłowej i fizycznej, koniecznych dla uratowania życia ludzkiego — to konflikt godny dramatu. Chwała tym, którzy z takich konfliktów wychodzą zwycięsko, nie zatapiają się, nie poprzestają na półśrodkach, odstawiających tylko niebezpieczeństwo grożące choremu. Czy jednak wolno

z całą surowością traktować lekarza, któremu w takiej sytuacji zawiedzie ręka?

Jeżeli postawiliśmy już to pytanie, to rozważmy, czy organizacja pracy, zmuszająca człowieka do nienormalnego wysiłku co najmniej dwa razy w miesiącu, jest komukolwiek potrzebna i czy w ogóle można ją usprawiedliwić. Znajomy mój nie jest w stanie sam doprowadzić do tańca swego kalendarza; szpital i pogotowie z obojętnością godną kapitalistycznych przedsiębiorstw przechodzą do porządku dziennego nad tym, że ich pracownik zatrudniony jest nie tylko u nich. Może więc nasz lekarz w pogoni za groszem nakładł na siebie za wiele obowiązków, może to z własnej winy ten młody człowiek po paru latach pracy zawodowej miewa już ataki serokardii? Wątpię, aby komukolwiek wydawało się, że kwota 1800 zł jest szczególnie wysokim wynagrodzeniem dla młodego nawet lekarza; tyle właśnie otrzymuje za swą pracę mój znajomy. Co się zaś tyczy podejrzania o „wyjątkową“ zachłanność na pracę, to w Wydziale Zdrowia PRN usłyszysz, że po pierwsze — lekarz obowiązany jest do 10-cio godzinnego dnia pracy, a — po drugie — znajomy nasz pracuje tylko 5 godzin dziennie w szpitalu i 4 godziny w pogotowiu czyli nie wypełnia nawet obowiązującej normy, pracuje za mało. Jednym słowem — tzw. „instancja“ uważa, że przedstawiona wyżej sytuacja winna być nieco cięższa i dopiero wówczas zadość stanie się wymaganiom przepisów.

Kalendarz mojego znajomego stwierdza, że przeciętny dzień jego pracy trwa 14 godzin; „odnośne czynności“ przynajmniej tylko godzin 9, lekką ręką odrzucając z rachunku czas nocnych i świadczeń dyżurów w szpitalu, czas największego wysiłku i najcięższej pracy. Jest rzeczą irytującą pełny namaszczenia stosunek do przepisów, które prowadzą do istnienia dwóch rzeczywistości: — urzędowej i prawdziwej. Gdyby rozbieżność między tym co oficjalne, a tym co prawdziwe prowadziła jedynie do krytyki systemu wynagrodzenia za pracę — sprawa warta byłaby poruszenia. Jeżeli jednak rozbieżność owa sprawia, że troska o zdrowie i życie ludzi oddanych pod opiekę lekarza przeradza się w obojętność na stan sił i nerwów tego lekarza, to sytuacja staje się alarmująca. Błogi spokój biurokracji, który poza notatką o 9-godzinnym dniu roboczym nie dostrzega człowieka stającego się na nogach po dwóch dobach nieprzerwanej pracy, musi być jak najżybciej zakłócony.

— Powiedz, kiedy ja mam czytać, kiedy uczyć się i rozwijać zawodowo? — spytał pod koniec rozmowy mój znajomy. Cóż miałem odpowiedzieć? Rozumiem, że wiele obiektywnych warunków składa się na przeprowadzenie lekarzy i nie tylko lekarzy. Nie mogę jednak uwierzyć, że warunki zmuszają nas do tolerowania tego, by człowiek trudem całego narodu wykształcony na cennego specjalistę stawał się otyłym robotem, któremu na pełniejsze życie nie starcza ani sił ani czasu.

KRONIKARZ

M A T U R Z Y Ś C I

(dokończenie ze str. 1)

bogactwo form nauczania literatury, o to by nauczyciel mógł swobodnie znaleźć swoją indywidualną postawę wobec poszczególnych pisarzy i całych okresów w literaturze.

Trójkąt w błędnym kole

Grzechy w nauczaniu literatury nie od samych pochodzą nauczycieli. Są oni często, chociaż nie zawsze, grzesznikami bez winy.

Dla lepszego zobrazowania sytuacji wyobraźmy sobie znaną figurę geometryczną — trójkąt. Na jego wierzchołku siedzą nasi historycy literatury z IBL i krytycy literacy. Związczą ci ostatni rokrocznie podnoszą wielkie larum wokół szkoły, gromią nauczycieli za rozmaite grzeszki. W wojennej strategii znane jest pojęcie — aktywnej obrony, albo obrony przy pomocy ataku. Pojęcie to znają i krytycy, ciskający gromy z wysokiego wierzchołka, bardzo odległego od podstawy, na której się opiera. Bronią się w ten sposób przed winami, których jednak ukryć niepodobna. Chodzą tu przecież o podreżniki, szereg prac IBL, wiele artykułów krytycznych. Szusne ideowo prace są sztywne, urzędowe, „pobożne“ — jak mi powiedział jeden z najlepszych łódzkich polonistów, ucząc młodzi „rozbiierać literaturę pod względem politycznym“, nie uczą jej jednak kochać.

Proponowałbym w miejsce walki — przyjaźń ze szkołą. Mogliby ją historycy i krytycy przypieczętować nowym podręcznikiem, który byłby swoistym skrzyżowaniem poglądów profesorów Chrzanowskiego z Żółkiewskim. Stary,

wzruszający podręcznik Chrzanowskiego! Pamiętam go jeszcze z lat, kiedy byłem subiektywnie „niewypierzony“, a obiektywnie zysytem idealistą. Ileż na jego kartach znalazłem ciepła, żaru, gorącej miłości literatury. Jakże trudno nauczycielowi uczyć bez podręcznika, któryby wysoką ideowość łączył z zachwycającym młodzieży poezją, prozą, dramatem...

Zbliżając się do podstawy trójkąta odnajdujemy z jednej strony organizację młodzieżową, z drugiej — dom rodzinny. Wbrew temu co można by na oko sądzić, są to instytucje, od których w dużej mierze zależy skuteczność nauczania literatury. No bo kiedy u tego samego nauczyciela spotykamy obok miłośników Żeromskiego również i „nieprzemakalnych“ — znak to widoczny, że sprawa jest szersza, nie da się sprowadzić do samego wykładu.

Chłopiec, który prosił o „pytanie ideologiczne“, to czołowy aktywista ZMP Organizacyjna rutyna zawodowego już prawie referatowca, któryby nawet spiew słowika gotów uważać za wrogą próbę odciągania od zasadniczych konfliktów epoki — sprawiły, że 17-letni chłopiec jest idealnie „odwarżony“, nieczuły na wszelkie piękno. Wychowanie estetyczne nie jest — niestety — najmocniejszą stroną pracy ZMP. Można by doprawdy czuć niekiedy gadanie o „sprawach zasadniczych“ zamienić na dyskusję nad książką, czytanie poezji, rozmowę o filmie, przedstawieniu teatralnym. Idealny i pozytywny środek antynudowy.

Bywa podobnie w rodzinnym domu. Iluż to ojców wychowuje dzieci w surowej, antyestetycznej regule. Wybiera się chłopiec do muzeum — „co tam teraz za malarstwo, lepiej co poczytać“ — ucina sprawę ojciec. Siada chłopiec



Panorama osiedla Stare Miasto, widziana od południa (część wschodnia).

JERZY OPLUSTIL

O JASNĄ MYŚL W URBANISTYCE ŁÓDZKIEJ

PROJEKT zabudowy tzw. „Starego Miasta“ i Bałut w Łodzi, powstał w ważnym dla naszej architektury okresie — w latach 1949—1951, kiedy to narada partyjnych architektów postanowiła zerwać z kosmopolityzmem formy i nawiązać do tradycji narodowych. Postulaty te stawały przed architektami szereg trudności, które powodowały w dużym stopniu brak doświadczenia w stosowaniu niewyprobowanych jeszcze środków wyrazu. Ten krytyczny przełom wpłynął zasadniczo na pracę nad projektem zabudowy „Starego Miasta“ i Bałut, wywołując szereg niekonsekwencji i nieporozumień.

Ani bydyńki, ani układ ulic projektowanych dzielnic nie stanowiły, poza tradycyjnym „Starym Ryńkiem“, nic absolutnie, co można by podciągnąć pod miano zabytku. Zaznaczyć należy, że stara drewniana zabudowa rynku znikła już w XIX wieku, ustępując miejsca „czynszówkom“. Nie zachowały się również do naszych czasów żadne ślady po drewnianej architekturze „Rynku Staromiejskiego“.

Co w tych warunkach upoważniło projektantów do kontynuowania bezpłodnych poszukiwań w zabytkach Piotrkowa i Sieradza i, w rezultacie, do stworzenia sztucznego zabytku? W miarę dojrzewania poglądów na problematykę korzystania z form tradycyjnych w architekturze dnia dzisiejszego — nasze pseudo-zabytkowe Bałuty tracą coraz bardziej anachronizm.

Licha imitacja MDM

To dziecko poczęte w rozróżce pierwszych dni nawrotu do różnorodnych form tradycyjnych — nie miało szczęścia. Pierwotny projekt, mimo poważnych błędów, urbanistycznych i architektonicznych, posiadał jednak pewną zaletę, jaką była zwartość całego założenia. W toku przeciągającej się realizacji, która nawet w partiach tzw. „Starego Miasta“ do dnia dzisiejszego nie jest zakończona, w pierwotnym planie nastąpił szereg zmian. Odłożono realizację akcentu wysokościowego — wieżowców w północno-wschodniej ścianie czworoboku ulic Zachodniej — Ogrodowej, Północnej — Franciszkańskiej. Wówczas miały spełniać poważną funkcję w ogólnej kompozycji, zwłaszcza wobec niskiej czterokondygnacyjnej zabudowy. Poważne również zmiany zażyły w zespołach projektujących Bałuty. Z rąk warszawskich architektów, Karłowicza, Polaka, Biedrzyckiego, inicjatywę przejęli łódzcy architekci. Równocześnie w Warszawie powstało MDM, a za nim fala emdeemowskich naśladowców rozlała się po całym kraju. Zamiast zachować odrębność, bódzy projektanci ulegli całkowicie warszawskiej sztamie. Bloki przy ulicy Stodolnianej są tego przykładem. To łódzkie MDM (istniejąca liczba MDM-y) w zestawieniu ze swoim warszawskim kolegą raz ubóstwem środków i formy. Pewne jest, że nawet tynki nie uratują obecnej „surowej“ ulicy Stodolnianej. Z całą pewnością stwierdzić można, że porzucenie pierwotnej koncepcji nie wyszło Bałutom na zdrowie.

Większość budynków wszystkich trzech osiedli (Starego Miasta, Bałut I i Bałut II) nie jest dotychczas otynkowana. Tynki otrzymały nieliczne domy przy ul. Zachodniej, Franciszkańskiej i t.d. Jakość wykonanych tu robót nie przynosi szczyty wykonawcom i źle świadczy o nadzorze. Detal zastosowany w elewacjach „wykończonych“ bloków raz niepotrzebna różnorodnością (bałustrady i schody przy ul. Zachodniej) i jakimś wykosławianiem zapożyczonych form i wzorów. Wspomnieliśmy już, że nieliczne tylko bloki zostały wykończone. Większość jednak domów nie otrzymała i tej skromnej kosmetyki. W tej sytuacji całe Bałuty robią wrażenie przykrego zaniedbania.

do Gorkiego — rodzice ciska „te miazmaty“ do pieca i radzi iść do kolegów. Ledwie chłopiec zapowiada pójście do świetlicy — już go ojciec zatrudnia przy ostrzeniu żyłetek. Zajęcie — jak wiadomo bezpieczne — nie paczy charakteru.

Aby szkoła osiągnęła pełny sukces wychowawczy w nauczaniu literatury, niezbędna jest współpraca wszystkich, zbyt jeszcze od siebie odległych wierzchołków trójkąta. Potrzebny jest szeroki front estetycznego wychowania. Inaczej trójkąt zamieni się, zgodnie z regułami geometrii, na koło. Oczywiście — błędne koło, pośrodku którego będzie się kręcił beznadziejnie nauczyciel.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Odstępstwo od pierwotnego planu zabudowy, zmiana projektantów, a z nią przejęcie emdeemowskiej sztamki przy dużych brakach w wykonawstwie i nadzorze, sprawiły, że Bałuty nie posiadają właściwie żadnego wyrazu plastycznego. Jasne jest również, wobec niekonsekwencji projektowania, czemu nie zdołano stworzyć na Bałutach architektury nadającej się do oprawy plastycznej. Oprawa plastyczna dwóch bloków przy ul. Podrzecznej, wybranych ad hoc w roku 1954, jest nieporozumieniem. Dwa już otynkowane i pomalowane bloki są ostrzeżeniem przed bezkrytycznym kontynuowaniem błędów. W tych warunkach słuszne było wstrzymanie dalszej realizacji tzw. „wystroju plastycznego Starego Miasta“.

Właśnie teraz, kiedy nie poczyniono jeszcze dalszych nieodwracalnych kroków, warto się poważnie zastanowić nad potrzebami Łodzi, nad możliwościami poprawienia i wzbogacenia jej wyglądu. Może się to przyczynić do lepszego wykorzystania kredytów przeznaczonych na plastykę i lepszego zlokalizowania tzw. „wystroju plastycznego“ w mieście. Właśnie dlatego, że w Łodzi szczególnie daje się odczuć brak bardziej interesujących obiektów, nie można sobie pozwolić na marnowanie tej okazji. O ile lokalizacja akcentów malarstwa i rzeźby w Warszawie, Lublinie i Poznaniu nie stanowiła poważniejszego problemu, o tyle w Łodzi trudniej będzie podjąć decyzję.

Malarstwo na Bałutach

Powróćmy na chwilę do rozpoczętej i na razie poniekąd realizowanej na Bałutach. — Wiemy — powiedział ktoś z administracji miasta — że architektura na „Starym Mieście“ pozostawia wiele do życzenia, i dlatego należałoby ją przystroić. Trudno o większe nieporozumienie. Powierzchnowe „polakierowanie“ fasad uczyniło architekturę pseudo-zabytkową jeszcze bardziej niestrawną. Od tego należy chronić nasze, nawet niezbyt udane Bałuty, a wysiłek inwestycyjny skierować na inne ośrodki w mieście. Jest rzeczą pewną, że wszelka polichromia w osiedlu zorowskim może się jedynie przyczynić do wyolbrzymienia niekonsekwencji i błędów architektonicznych. Szczególnie jaskrawym tego przykładem są dwa już wykończone i pomalowane budynki. Rozpatrzmy po kolei szereg aspektów błędów. Nieporozumienie tkwi już w samym doborze obiektów, które stanowią miały akcent plastyczny zrekonstruowanego „Starego Miasta“. Dwa wybrane w tym celu budynki stoją w szeregu stanowiącym północną ścianę dość dużego terenu zawartego między ulicami Zachodnią — Franciszkańską — Ogrodową. Sam teren jest zieleniem-parkiem. Młody drzewostan nie przesłania widoku boków prostokąta. Ponieważ podłoga zielenia jest ukształtowana jako głęboka zapadlina, a obiekty nowe znajdują się na skarpie, zleń drzew nawet wysokich nie zakryje ścian placu. Cały czworobok czterech ulic jest więc właściwie dużym placem, a obserwacja ścian tego placu będzie zawsze możliwa. Wynika z tego, że akcenty malarskie dwóch zorowskich kamienic powinny być dostosowane do skali dużego terenu, ponieważ teren ten stanowi płaszczyznę, z której odsłania się ich widok. Akcenty plastyczne (malarstwo i rzeźba) na których ze ścian placu powinny urosnąć do rozmiarów zapewniających im czytelność z przebiegłego boku.

W NASTĘPNYM NUMERZE:

Wspomnienia
o
Jerzym Wyszomirskim
pióra
St. R. Dobrowolskiego
i
Jerzego Putramenta

Jednym tedy z podstawowych błędów wykonanych malowideł jest to, że składają się one z emblematów dwumetrowej zaledwie wysokości. W danych warunkach sytuacyjnych taki element powinien prawdopodobnie wypełniać rozmiary czterokondygnacyjnego budynku. Projektanci uwzględniali zapewne widzialność „wystroju“ z alei w gęsto zadrzewionym parku. Konsekwencje odmiennych a realnych warunków uszły ich uwagi. Na ich usprawiedliwienie trzeba przyznać, że byli beznadziejnie w zastanych warunkach, a to z dwóch przyczyn:

a) elewacje wybranych dla wystroju obiektów posiadają drobny detal i są pocięte gzymsami, co przekreśla swobodę koncepcji i kompozycji;

b) konwencjonalne rygory malarstwa ściennego w Polsce nie zezwalały na odważne projektowanie.

W Meksyku, jak chyba nigdzie indziej, przyjął się zwyczaj traktowania plastyki jako nieodłącznej części składowej monumentalnego budynku. Przykłady, jakie nam pokazano, stanowią bardzo ciekawy eksperyment kojarzenia malarstwa i rzeźby z nowoczesną architekturą. Za bardzo udane należy uważać takie próby, jak malarstwo ścienné biblioteki w miasteczku uniwersyteckim Mexico-City. Malowidła innych obiektów, jak np. ministerstwa komunikacji, budzą zastrzeżenia. W każdym razie na podstawie tych i wielu innych doświadczeń możemy stwierdzić, że artyści meksykańscy dążą do stworzenia na wskroś współczesnego malarstwa ściennego, podporządkowanego funkcji i konstrukcji budynku. Taka współpraca malarstwa i rzeźby z architekturą daje w wyniku dzieło imponujące, jak wyjątkowo udane biblioteka.

W Meksyku architekt trochę się o dostarczenie malarzowi dogodnego miejsca dla swobodnego wypowiedzenia się. Stąd olbrzymie powierzchnie mozaiki i malarstwa przekraczające niekiedy dla jednego obiektu dziesiątki tysięcy metrów kwadratowych.

Przydać Łodzi plastycznego piękna

Wracając do dwóch nieszczytnych „wystrojonych“ budynków zorowskich na Bałutach, zapytajmy, jakie środki wyrazu plastycznego zastosował autor koncepcji dla „zorganizowania“ tak wielkiego czworoboku ulic? Czy mogą być pomocne w kompozycji placu mikroskopijne i banalne postacie i emblematy sgraffitowe? A jeżeli warunki nie pozwalały na stworzenie malowideł zestrojonych z sytuacją wielkiego terenu, to czy nie byłoby właściwie zwykle podbarwienie tynków?

Próby malarstwa ściennego na Bałutach zostały w porę wstrzymane i to z różnych powodów (między innymi ekonomicznych). Dla półmilionowego miasta pozabawienie walorów plastycznych któregoś z jego dzielnic byłoby dużą stratą. Dla Łodzi ponadto byłoby raziącą niesprawiedliwością wyeliminowanie jej z kredytów przeznaczonych na ten cel w zakresie budownictwa mieszkaniowego. Oprawę plastyczną w tej chwili otrzymują prawie wszystkie wzniesione po wojnie osiedla mieszkaniowe na Śląsku. Stało się już tradycją obchodów 22-go Lipca, że miasto otrzymuje tego dnia całe dzielnice (Warszawa w r. 1953 — Stary Rynek, Lublin w r. 1954, Poznań w r. 1955). Miejmy nadzieję, że w najbliższych latach święcić będziemy datę wyzwolenia w jednej z całokształtów przebudowanych dzielnic Łodzi.

Trzeba już teraz, w drodze szerokiej społecznej dyskusji, ustalić miejsce dla przewidzianej oprawy plastycznej. I jeśli w wyniku takiej dyskusji dojdziemy do wniosku, że kontynuowanie inwestycji plastycznej na Bałutach jest bezcelowe, trzeba będzie wybrać inne miejsce. Nie powinna nas odstraszać od takiej decyzji konieczność dokonania kosztownej nawet korekty w zabudowie — choćby Placu Wolności, gdzie konwencjonalne malarstwo miałooby bardziej dogodne niż na Bałutach, kameralne warunki.

JERZY OPLUSTIL

Spór o generalia

BYŁO to dziwne plenum. Zaczęło się od spraw krytyki. Przez chwilę zdawać się mogło, że zmieni się w kontrowersję o trafność tych czy innych szczegółowych sądów, o przeinaczenie cytatał, że rozpoczyna się sprostowanie wypaczeń, oskarżenia o niesprawiedliwy wyrok i mowy obrończe oskarżonych. Zdawać się tak mogło, tym jaćniej że wiele dało do tego asumpt. Ale rzecz przybrała nieoczekiwany przebieg. Dyskusja przerodziła w sferę inną. Drugiego dnia z rzadka wspomniano artykuły i recenzje. Mówiono już o taktyce i stosunku literatury do nauki, o „energii kulturotwórczej socjalizmu” i osoblwościach naszej rewolucji. Krytyka zesłała na plan dalszy. Jednak z pozoru tylko. W rzeczy samej bowiem spór o nią trwał nadal. Mówiąc o generaliach, dotykano jak najbardziej bezpośrednio podstawowych przesłanek, milczkiem przyczajonych supozycji, które kryły się poza tymi czy innymi sądami. Ktoś powiedział w kuluarach, że plenum przypomina mu repetytorium elementarnych zasad naszego systemu społecznego, naszej polityki kulturalnej, naszej wiedzy o świecie. Miał słusność. Repetytorium to bowiem wchodziło w zakres sporu o generalia.

Był on podsumowaniem wydarzeń ubiegłego i bieżącego roku. A nawet nie tyle podsumowaniem, ile konsekwencją. Zrodził się jako odpowiedź na to, co J. Putrament w swym referacie, a za nim wielu mówców nazwało „recydywą męszczańskiego pojmowania spraw literatury”. I dlatego właśnie krytyka stała się celem ostrzału. Ja bowiem w większym stopniu niż jakakolwiek inną dziedzinę piśarstwa skazyła owa recydywa.

Od mniej więcej roku na łamach naszych czasopism zaczęły się pojawiać artykuły i recenzje utrzymane w tonacji „nie”, a nieraz podszyte pamphletem. Traktowały one o naszej literaturze współczesnej. Poruszały zagadnienia, o które od kilku lat nie zrażał żaden polski krytyk, których rozstrzygnąć przed nimi nie usiłował bodaj nikt. Więcej, zawierały niekiedy sporą porcję trafnych spostrzeżeń. Zwłaszcza tam, gdzie występowały się uogólnień. Ale trafność pewnej grupy obserwacji nie decyduje o trafności całego szkicu. Znaczna część essayów, artykułów, recenzji, a były wśród nich i uwagi niżej podpisanego, w wielu punktach kłóciły się z prawdami naukowej wiedzy o świecie. Rzecz prosta, sprzeczność ta nie rozdziła się za sprawą przekreślenia znakomitej większości dorobku naszej literatury ostatnich pięciu lat. Krytyk ma przecież pełne, niczym niepodważalne prawo do wydawania nieprzychylnych ocen o tych lub innych książkach. Zasadniczym warunkiem poprawności oceny jest jednak operowanie sprawdzianami marksistowskiej estetyki, jest niejako oparcie swego sądu o tezy naszego poglądu na świat. W przeciwnym razie rozpoczyna się inwazja mieszczańskich teorii estetycznych. Krytyka pada ofiarą zakażenia. W ostatnim roku spotykaliśmy jego objawy. Mówię o jako całkiem świeży rekonwalescent.

Sprzeczność wywodów naszych krytyków z marksistowsko-leninowskimi tezami rzadko kiedy bywała sprzecznością jawną. Znacznie częściej ginęła w ukryciu. Sprzeczne były przesłanki przyjęte w milczeniu, zagrzebane gdzieś na dnie artykułu i zapewne nie uświadamiane przez ich autorów.

Recydywa przybierała — rzecz biorąc z grubsza — kilka zasadniczych odmian, nieraz występujących łącznie. Ciążyła ona na mierniku oceny, którym w wielu wypadkach przestawał być realizm. Zastępował go indywidualny gust. Kiedy indziej stawało się nią wypowiedziane w trybie artystycznym uogólnienie pozanaukowych, a więc spełnianie warunków specjalnie pojętej „odkrywczości”. Czasem zaś działało to, co nazywano w dyskusji „przymierzaniem dzieła do abstrakcyjnego modelu piśarskiego”, mając najwyraźniej na myśli charakter oceny — jej „poza-kontekstowość”, że odwołano się do metafory, wyrzucanie powieści, wiersza, dramatu z ciągu społeczno-literackiego. Tak na przykład mówiono o książce, że ma ona niewiele wspólnego z realizmem. Natomiast nie próbowano powiedzieć, czy bardziej do niego się zbliża aniżeli wcześniejsze utwory tego samego pisarza, czy dokładniej doń przylega aniżeli współczesne jej książki innych autorów. (Za przykład takiego postępowania może posłużyć moja recenzja z „Jaworowego domu” W. Macha). W niektórych essayach recydywa pociągana za sobą męszczańskie metody badawcze w postaci czy to tęsknoty za wyłączonej analizą „chwytu”, czy też wprawdzenia całego szeregu przesłanek z czepniętych z psychologii społecznej, a kolidujących z marksizmem. I na koniec... poza niektórymi konstrukcjami krytycznymi skradała się chyłkiem supozycja, że nasza polityka kulturalna — kierownicza rola partii — zabija „wielką literaturę”, że to co krytyk uważa za wartościowe powstaje wbrew niej, a nie dzięki jej pomocy.

Recydywa męszczańskiego pojmowania sztuki posiadała cały szereg przyczyn. Nie tłumaczę one tych, którzy jej ulegli. W części jednak stanowią okoliczność łagodzącą, którą należy chyba wziąć pod uwagę. Okoliczność? N'e, raczej okoliczności. Jest ich bowiem kilka.

Mniej więcej od roku doświadczeni marksistowskie krytycy nabrali wody w usta. Jedni od dawna zajmują się historią literatury, ale inni? Przecież od czasu, w którym proklamowano „odwilż”, nikt z nich nie zabrał głosu. Dopiero bardzo niedawno, zaledwie kilka tygodni temu, doszły nas ich słowa. W przeciągu całego roku w naszej krytyce literackiej niezbyt wiele pojawiło się wypowiedzi operujących naukowymi sprawdzianami, które próbowałyby rozstrzygnąć nowe, nierozwiązane dotychczas zagadnienia. Stąd „bezkarność” — jak mówił J. Putrament — teorii „krakowskich” krytyków. Ale chyba również i stąd, choćby w drobnym stopniu — one same. Nasza krytyka lat wcześniejszych była bowiem w pewnej mierze wypaczeniem marksistowsko-leninowskiej estetyki. Zwiększała tam nie raz i nie dwa zakres pojęcia realizm. Sprawdzała je do określonej poetyki albo też do jakiegoś ich zespołu. Rzadko próbowało rozbudować niekiedy jej dziedziny. I tu tkwi jeszcze jeden komentarz do sporu o generalia, który rozegrał się na plenum. Marksistowsko-leninowska estetyka nie postawiła jeszcze i nie rozstrzygnęła pewnego zespołu zagadnień, choćby tych, które mieszczańscy badacze lokowali w teorii literatury. W znacznej mierze wiążą się one z nie rozwiązanymi do tej pory przez naszą wiedzę o świecie zagadnieniami filozoficznymi (np. problem znaczenia, któremu pierwszą swą pracę poświęcił A. Schaff, a który ma wielką wagę i dla historyków literatury i dla krytyków).

Poprzez całe plenum wracała ustawicznie myśl stanowiąca jak gdyby jego leitmotiv, choć nie wypowiedziana bodajże przez nikogo. Był to postulat systemu krytycznego, który by bez reszty wywodził się z marksistowskiej wiedzy o świecie, który by rugował wszelkie odstępstwa od niej, który by rozważał dzieło w całej jego rozciągłości za pomocą rzeczywiście naukowych kategorii, anektując przy tym zagadnienia dotąd nie zbadane, problemy niedostatecznie wyświełtione. Taka aparatura krytyczna nie zawierałaby, jako swej części, „receptury piśarskiej” tak dotkliwie dającej się we znaki naszym poetom i dramaturgom w latach niezbyt odległych. Nie groziłaby jej identyczność ocen tego samego dzieła, a przede wszystkim byłaby to aparatura pozwa-

lająca dokładnie i bezbłędnie poznać przedmiot, pozwalająca na unaukowanie krytyki, na spełnienie roli wychowawcy, tak pisarza, jak i czytelnika.

„Receptura piśarska” była demonem naszej krytyki lat 1950—1953. Przepisy sztuki poetyckiej czy prozatorskiej jawiły się wówczas niejednokrotnie obok cytatał z Marksa, Engelsa czy Lenina, obok zapewnień o naukowym stanowisku krytyka. W rzeczy samej jednak pozostawały w sprzeczności z marksistowską estetyką, której normy dotyczą stosunku dzieła do rzeczywistości; postulują realizm, a więc określoną postawę twórczą; nigdy nie wdierają się w dziedzinę poetyk, w dziedzinę artystycznego kształtu dzieła; mówią o podstawowym warunku wielkiej literatury, a nie o jej formach. Wystawianie recepty było przecież zmianą znaczenia, które wiążemy ze słowem realizm. Krytyk rozumiał je nie jako stosunek do świata, stosunek zobiektywizowany w dziele, lecz jako jeden lub kilka warsztatów piśarskich. Powieść oparta na akcji, fabule, wydarzeniach, uważał za realistyczną. Powieść oparta na analizie psychologicznej czy zabarwiona groteską traciła dlań irrealizmem. Rodziły się rozważania nad szansą tragedii w realizmie socjalistycznym, szansą jakoby nikłą, znikoma. Było to uproszczenie naukowej estetyki, odstępstwo od niej. Dlatego system krytyczny, o który toczył się spór na plenum, musi uwolnić się od wszelkich śladów normatywizmu.

Słyszałem jak mówił ktoś, że mimo to będzie ten system „maszynką do wydawania ocen”, że wypisywanie kwalifikacji stanie się czymś automatycznym, że przybiorą one w różnych essayach, artykułach, recenzjach, tę samą postać. Nieprawda. System krytyczny, o który chodzi, nie zmusza recenzentów mówiących o jakiejś powieści do powtarzania wcześniej już wyrażonych opinii. Nie każe im nasłuchiwać dźwięku cudzych słów po to jedynie, by go wiernie powtórzyć. Nie czyni z nich posłusznych elewów kopiujących myśli prymusa, recytujących je jak pacierz za panią matką. Nie wyklucza dyskusji choćby jak najbardziej zawziętej, choćby jak nagwałtowniejszej. Przeciwnie, daje jej pełne szanse. Przeobrazi się ona jedynie nie w spór o generalia, lecz w spór wewnątrzsystemowy. Nie zawsze będzie on rozstrzygalny w kategoriach



Lech Kunka — Bellojanis

Z wystawy wiosennej ZPAP

obiektywnych. Niekiedy stanie się konfrontacją różnych smaków.

Nasza estetyka posiada multum zagadnień do tej pory nierozwiązanych, a których rozwikłanie nie będzie rzeczą dziecinnie łatwą. Decydują one o ostatecznej ocenie dzieła. Dlatego też mogą powstać i powstają essaye, szkice, recenzje, gdzie dwu pisarzy, biorąc za punkt wyjścia naukową wiedzę o świecie,

dochodzi do odmiennych rozstrzygnięć.

Spór o generalia już się zakończył. Rzecz krytyków jest teraz ostateczna sprecyzowanie ich piśarskiej aparatury, jest oparcie sprawdzianów o marksistowską estetykę. Więcej, jest sięgnięcie po problemy niesformułowane w niej dotąd, jest postawienie pytań i danie odpowiedzi. **LECH BUDRECKI**

JAN KOPROWSKI

Kilka uwag o krytyce i krytykach^{*)}

twórczości. Przejawia się to nie tylko w merytorycznej warstwie ich sądów, ale może nade wszystko w formie. Styl i język przeważnie większości prac krytycznych — to swoisty volapuck, to jest coś tak nieudolnego, że nie podobna czytać tego bez głębokiej melancholii.

I jeśli warto namawiać krytyków do wyjazdu w teren, o czym pisał niedawno Jerzy Putrament, to m. in. dlatego, by posłuchali oni jak ludzie mówią, co to jest język polski, jakie są jego uroki. Pseudoscientyficzny żargon naszej krytyki jest po prostu nieznośny. Oto np. próbka z recenzji Jana Józefa Lipskiego o zbiorze opowiadań Szaniawskiego: „Podstawową regułą jest zasada, według której „genus proximum” i „differentia specyfika” są tymi czynnikami, które mogą odgrzywać rolę motywacyjną, dynamiczną — tak zwane zaś „cechy przypadkowe” (przyjmijmy, że ów fikcyjny słownik definicji oparty jest na zasadach arystotelesowskich) mogą służyć tylko celom statycznym, opisowym, zdobniczym itd. Co więcej — definicje te są na ogół wyrazem postawy teleologicznej: cel przedmiotu, który określa, jest czynnikiem ważniejszym, niż cokolwiek innego”. Niech mi sympatyczny krytyk daruje, że go przywołał na świadka. Nie chodzi w tej cytacie o sens, można go przecież od bieddy zrozumieć. Chodzi o te łamańce terminologiczno-stylistyczne, które n'czemu nie służą, które zabijają u krytyka piękno ludzkiej mowy. Jakąż przziemnością po takiej recenzji było dla mnie przeczytanie uwag Scibora-Rylskiego, oślozonych w „Nowej Kulturze”, o prozie Koguta i Machajki. Były to uwagi ciekawe (choć z wieloma z nich nie można się zgodzić), podane w sposób żywy, z pasją polemiczną, bez pindrzenia się i robienia oka do wjaśnionych. Niejednokrotnie można by, niestety, sądzić, że krytyk o danej książce ma niewiele, albo też nie ma nic do powiedzenia. Bo trudno sobie wytłumaczyć inaczej te chłodne pseudointelektualne konstrukcje krytyczne, poza którymi kryje się często po prostu pustka albo zwykły fałsz.

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze tzw. anonimowość wypowiedzi. Omal wszystkie spory polemiczne naszej krytyki prowadzone są w klimacie anonimowości. Przyznaje: jest w tym pewien dreszczyk zagadki, a nawet sensacji, ale co ma z tego czytelnik, a i pisarz,

nie wszyscy bowiem pisarze orientują się, o co w takich zakamuflowanych krytykach chodzi.

Sądzę, iż prawdziwą odwagą jest nazywanie rzeczy po imieniu i o tę odwagę powinniśmy się troszczyć wszyscy, z krytyką na czele! Anonimowość stanowi przegrodę między literaturą a życiem, między krytyką a czytelnikami, na których zdaniu tak nam przecież zależy.

Wydała mi się, że wszystkie te uwagi dało by się sprowadzić do wspólnego mianownika. Tym mianownikiem w naszym przypadku była by postawa moralna krytyka (i nie tylko krytyka). Rzeczy tak zdawało by się oczywiście, jak mówienie i pisanie swojej własnej prawdy, jak opieranie się na swoich własnych myślach — stanowią przesz-kody nie tak łatwe, jak się okazuje, pokonywalne. Nie nauczyliśmy się zawięzać przede wszystkim siebie samym, naszym odczuciom, wrażeniom i sądom.

Czemu tak się dzieje, że to, co dawniej chwalono, dziś odsądza się od czci i wiary? Czy tylko dlatego, że ludzie zmieniają się, dojrzejewają i rewidują swoje poglądy? Coś podobnego mogło się zrodzić przede wszystkim w złej atmosferze moralnej; w atmosferze sztyrdwata, zakłamania, cynizmu.

Czym np. wytłumaczyć fakt powstania artykułu Błońskiego, w którym ten świetny krytyk przekreśla cały omal dorobek dziesięciolecia w poezji? Dlaczego uczynił to Błoński dopiero teraz? I dlaczego odmówił wartości temu, o czym tak jeszcze niedawno pisał w każdym razie inaczej? Parę lat temu podobny artykuł był by zapewne aktem odwagi, dziś jest tylko uleganiem owe-mu pędowi do odmawiania wartości wszelkim zjawiskom naszej literatury.

I nie to, sądzę, jest symptomatyczne, co Błoński napisał, od tego przecież nie zawali się literatura, a poeci nie przestaną pisać, ale to, że napisał właśnie teraz, właśnie w chwili dość pospolitego zamętu ideowo-artystycznego. Przyznam szczerze, iż od takich późniejszych proroków wolę tych, którzy pomylili się zbyt wcześnie, by ich za to ganić.

Otóż „prorocstwo” w krytyce może mieć jakąś wartość tylko o tyle, o ile jest w czas wypowiedziane. Prorocstwo złe i do tego spóźnione na nic się nikomu nie przyda.

W ogóle wydaje się, że krytyka miast zajmować się więcej bieżącym materiałem literackim, zbyt wiele czasu poświęca albo na tak zwane wątpliwe uogólnienia, albo na — traktaty historyczne. Tymczasem wokół wielu książek współczesnych panuje całkowite, niczym nieuzasadnione, milczenie. Zeby nie być gołosłownym, podam najbardziej jaskrawy przykład. Przeszło rok temu ukazał się zbiór opowiadań Lesława Bartelskiego „Miejsce urodzenia”. Czy wiecie, że o tej książce nie było nigdzie, ale to nigdzie nawet wzmianki? Oczywiście — przykładów podobnych mógłbym przytoczyć wiele.

Gorzej jeszcze dzieje się z oceną przekładów. Co tam — gorzej. Tej oceny w ogóle nie ma, bo krytyka tymi zagadnieniami wcale się nie zajmuje. Zmarł niedawno jeden z najznakomitszych polskich przekładowców, Jerzy Wysocki. Próżno by szukać jakiegś oceny jego tłumaczeń. Krytycy rozpisują się szeroko o problematyce tłumaczonych utworów, o tym zaś, co w takich przypadkach najważniejsze, mianowicie, jak dany utwór został przełożony na język polski — ani słowa. Ostatnio czytaliśmy kilka dość nieciekawych artykułów o problematyce społecznej powieści Tomasza Manna, nikt natomiast nie pokusił się o podjęcie niezwykle ważnej sprawy, jaką byłoby rozważanie na temat wartości przekładowej utworów autora „Czarodziejkiej Góry”. Ta dziedzina prac krytycznych obumara u nas całkowicie. Po prostu o tych zagadnieniach w ogóle się już nie myśli.

Uboga jest problematyka naszej krytyki i, niestety, ciągle jeszcze ograniczona do socjologicznych schematów.

Na zakończenie chciałbym powiedzieć, że tych kilka luźnych uwag nie podyktowały mi tzw. względy osobiste. Od czterech lat nie wydałem żadnej książki i krytycy nie mieli mnie za co pokrzykować. Jednakże za krytykę poprzednio wydanych książek okazywał krytykom moim niekłamany wdzięczność, nawet wówczas, gdy nie pozostawili na mnie suchej nitki. Jestem bowiem głęboko przekonany, że każda krytyka, nawet ta, którą w głębi duszy uważamy za krzywdzącą i niesłuszną, zawiera w sobie jądro prawdy. Uwagi moje podyktowała mi po prostu aktualna sytuacja w krytyce. Jeśli mówimy, że literatura jest obrazem życia, to krytyka winna być obrazem literatury. Nasza krytyka obrazu zmagania literatury współczesnej nie daje i to jest — śmiem twierdzić — jej największym niedomaganiem.

JAN KOPROWSKI

^{*)} Z przemówienia wygłoszonego na Plenum ZLP.

Młodość okupacyjna

(fragment)

Wyjechałam. Wieś mglista. Pelzający warkot Samolotu. Spadochron na zbożu oparty. Znowu sadzawka krakiem ciernistym owita. Obłok biały, lot ptaka, które woda chwyta, Spadały gwiazdy nocą sierpniową ciężarnej Złotem, bronią i ludźmi. Życiodajnym ziarnem Bili w czarne równiny, we wnętrzości lasów. Widnokreślami świeższe przenosiły hasło.

Błyskawice, dwie wieści skrzyżowały ostrza: Warszawa w rękach naszych! Nie!! Umiera Polska — Tam śmierć... Po chałach, rżyskami, po miedzach Radziliśmy. Wybuchł księżyc. Nikt nie wiedział Dokładnej prawdy. W nocy szum szedł naszą wioską, Pukano w szybą ciemną: „Tutaj polskie wojsko, Która droga na Rawę?” Ach, jak we śnie szybko Wskazywaliśmy. Z braskiem świat wracał, świat niknął. A przed oczyma ciągle Wisły mur i przepaść... — Wodo — rzeko niewierna — ustąp! Niech powieka Ładu pokryje falę. Niech pomostem ziemi Przejdą czołgi z pomocą. Niech przejdą. Giniemy...

I stanęły wsie rojne pod jesiennym niebem, Tłumy ludzkie z stolicy o żebraczym chlebie. Leciły chmury, w chmurach czarne stada ptaków, I tylko dłoni naszych skurcz, wołanie wiatru.

Spalali się w płomieniu, włączano im w płuca Srebrny gaz, gaz niebieski, zdzierano uczucia, Miazdżono myśl na mięsa strzęp. Wszono w prochach Miasta za śladem który lekka stawia stopa.

„Więc trawa jest, są kwiaty“ pierwsze Zosi słowa, Gdy uciekla z transportu, by u nas się schować Przed światem. Leżała koło mnie, nie spała, Zarzył się papierosa ogień: „Były działa, Wiesz — pancerne — niemieckie pewno jakieś tanki. A na nich — wiesz — wisiały moje koleżanki Na paskach od mundurów — tak...”

Potem zasnęła I z krzykiem się budziła. Szmerala w papierach, Darła gazety rożek, zaszeleścił tytoń, Trzask zapalki. Zabłysnął ogień. „Spisz?... Tam ślisko Było — ja się potknęłam — w czerwoną kałużę Upadłam...”

Podczas wili błyskało różowo na wschodzie. Matka do szyb ciągnęła nas. Dygotał ogień, Zar-ptak płochliwy skrzydła otwierał, zamykał. Patrzmy — krzew zapłonął znów. — Krzewie nie znikają!

Wkrótce — za szybą okna — czasu widowisko, Jeden z aktów epoki kończył się. Bezlistną Sceną zlodowaciała, ekranem ogrodu Migotali — nadludzie — oprawcy narodów,

Niemcy! Proporcjonalne ich ciała w chaosie Strachu zgęst. Profile szkielet leżą bezgłośnie Tuż! A dwa konie niby dwa marmury wspięte Kopytami bijące w niskie słońce z lękiem, Cicho zlatują helmy, tornistry, broń wszelka. Tylko maszyny w górze warczą, niebo pęka. Mkną. Migają. I pustka. Nie! — jeszcze dwóch! — Pada Jeden. Powstaje. Nikną... Sroka siada I krzeczce na płocie. Wolno się zbieramy, Wychodzimy. Stajemy przed domem. Nad nami Przestrzeń uspokojona. Powietrzne eskadry Uleciały. Jest cisza. Cisza. Oto twardy Szept, żelaza głos rośnie. Oto tank za tankiem Suną. Przy bzach stanęły. A krzaki są światłem Szronu tylko. Już furka skrzypi, furka błyska. Ktoś w niej staje i krzyczy. To — mowa rosyjska! Odpowiadamy.

Kwiatów nie ma, gęstych liści Spod stropu schylających się zieleni bystrzych Lecz wiosna jest. I mroz już nie mrozem. — To żywioł W potrzasku. Wzruszą ciała się wszystkie. Ożyją Kamienie. To już wiosna... Tak było. Nadzieja Otworzyła nam serca i w progach stanęła.



Jerzy Tyblewski — Stary pomost

Z wystawy wiosennej ZPAP

I oto — choć nie przewidywałem tego w żadnym z wariantów swoich planów życiowych — znalazłem się w dużym siole rosyjskim między Pawłodarem a Siemipalatynskiem. Siemipalatynsk, jak się wkrótce okazało, było to niemałe miasto, Pawłodar zaś — stanowiący dla mego sioła oddalony o 250 km centrum obwodu — dobrze scharakteryzował pochodzący z tamtych stron znakomity pisarz rosyjski, Wsiewołod Iwanow: „...O, ten Pawłodar!... Ani jednego drzewa i zawsze, ile razy tam byłam, wzdłuż ulicy brnęło cięle ze zwieszoną głową”...

W czasie mojej bytności, Pawłodar ulic miał znacznie więcej, miał dużo drzew i nawet filharmonię, z fauny ujrzałem tam po raz pierwszy w życiu zaprzęgniętego do wozu wielbłąda w towarzysztwie konia (zdaje się, że pogardliwie na siebie patrzyli), niemniej ów satyryczny szczegół w postaci cięlecia ze zwieszoną głową nadal jakoś to napoły — syberyjskie miasteczko charakteryzował.

Znalazłem się tedy w owym siole w kilkunastuosobowym towarzystwie rodaków i rodaków. Szybko pojąłem, że oszostomienie i trapiąca nas silna nostalgia, owszem, mają swoje prawa, ale że poza tym bez pracy nie będzie n.e tylko kołaczy, lecz nawet bochenka pszenicznego (innego tam wówczas nie jadano) chleba, przy którym od czasu do czasu powinien się pojawić i garnuszek z makiem.

Pierwsze propozycje pracy, jakie wysuwały pod moim adresem całkowicie nowe warunki — wiejskie, wyróżniające się przy tym dużą ilością traktorów i rozmaitych maszyn rolniczych — były niezwykle ubogie, żądały ode mnie całkowitego przedstawienia się...

Nieduża znajomość stosunków prawnoustrojowych w dawnej Polsce (według podręczników prof. Kutrzeby) nie miała tu żadnego zastosowania.

Tak więc prawie natychmiast odczułem przewagę rodaków, posiadających skromne choćby umiejętności ziemskie, nad inteligentem, w dodatku — mało sprytnym.

Gdybym przynajmniej umiał robić na drutach!

Duże sioło o podwójnej nazwie — kazachskiej: Ramadan i rosyjskiej: Małaja Włodimirovka — leżało na stepowej, gdzieś niedaleko nieznaczącej sfalowanej równinie w sąsiedztwie dalekiego cagnącego się sosnowego boru, co stanowiło okoliczność bardzo szczęśliwą, nie było to bowiem w tym kraju sąsiedztwo zbyt częste. Na ogół osiedla ludzkie, sioła i aule — pozbawione przeważnie orzeźwiającej bliskości lasu — dzeliły od siebie duże, sięgające niekiedy pięćdziesięciu kilometrów, odległości. Drzewostan w takich osiedlach reprezentowały nieliczne topole i drzewka grochowniki o płożo-zielonych czuprynkach z liści, przypominających swoim krojem liście akacji. W stepie kwitły niebieskie, białe i kremowe dzwonczki, rosące wysepkami niskie krzaki śnieżno-różowej tawuły, krzewiaste trawy wielbłądzie...

Najpierw zaproponowano nam pracę w lesie. Co kilka dni jeździliśmy ciężarówką do odległej o czterdzieści kilometrów od sioła gajówki. Praca przy spłowywaniu brzołek, niezbyt nawet pękających, była w upale dość ciężka i początkowo męczyłem się przedzi, niż koleżanki z białoruskich wsi.

Demoralizowały mnie upały, a wkrótce potem zupełnie zdemoralizowała tała przysiółkowiwo zatłuszczonych kart, którą z dna walizki wygrzebał kolega — młodszy Goethego, w niedalekiej przeszłości student germanistyki.

Po upływie kilku tygodni prowadzący gospodarstwo w Maszynowo-Traktowej Stacji, ob. Smirnow, obliczył nasze efekty pracy w stosunku do przyjętych norm i chwycił się za głowę:

— Coś wy przez tyle dni robili, a? — Potem, nie czekając na wyjaśnienia, opanował zdziwienie i ze zgorzkniałym optymizmem zauważył: — No, ale to nie! Jeszcze was książki zmuszą kiedyś do wydajności!

W tym czasie — zawiązując pewnego razu tytoń do przywiezionej nam gazety — dowiedzieliśmy się o upadku Francji.

Był to temat dla wielu, pełnych trwogi, rozmów.

Wkrótce potem wróciłem do sioła na stałe, przystąpiłem do pracy na terenie pobliskich warsztatów MTS. Zwiezione brzozy należało korować, przepiłowywać na krawki, krawki rozbić siekierą na drobne kłocki i suszyć. Wysuszone, zsypywane pod umieszczonym na słupkach dachem, wędrowały kolejno w worach już jako paliwo dla ciężarówek i pewnych typów traktorów.

Praca była łatwa — w sam raz, jak żartował ob. Smirnow, dla inteligentów — wesola i dość dobrze płatna. Wieczorami chodziliśmy z kolegą germanistą do lasu, żeby — unikając zgorszonych spojrzeń swoich rodzin — topić nostalgię (ale niezbyt głęboko!) w alkoholu. Potem przyłączaliśmy się do wędrujących po siole grupki młodzieży, śpiewających pod harmonię „czastuszki”. Na jesieni, ku swemu zdziwieniu, zostałem księgowym w kantorze tejże Maszynowo-Traktowej Stacji.

Szły miesiące, a nawet i lata... Zdaje sobie sprawę z wyjątkowej nonszalanckiej tego skrótu, ale przecież celem mojej opowieści ma być ów Michaś, do którego nikt nie mógł dobrać.

My i mieszkający sioła, zwłaszcza na początku, byliśmy dla siebie egzotyczni. Muszę jednak powiedzieć, iż częściej tam spotykałem się z przyjaźnią i zrozumieniem, niż z niechęcią. To chyba dlatego — pomimo wielu cięż-

JAN HUSZCZA

MÓJ PRZYJA

kich przeżyć — po tylu latach powracam w tamte strony, jak w jakieś bliskie: nieraz ze wzruszeniem odtwarzam w pamięci niejedną twarz i niejedną sytuację.

W kantorze Dołońskiej MTS zdobyłem sobie ostrogi doświadczonego burokraty. Główny buchalter, człowiek zamknięty w sobie i wyglądający, ze względu na jasne napuszone brwi, na mruka, choć nawskroś wyrozumiały, dość prędko skreślił mój portret psychologiczny, jak mi się i teraz wydaje, z dużą trafnością. Powiedział kiedyś: „Ty, Janie Janowicz, wszystko zrobisz, dobrze zrobisz, ale zawsze przed tym musisz się wyklócić”...

Ale pewnego dnia otrzymuję wymówienie. Myślałem, że to żarty. Okazało się, że nie podobnego... Przepisywałem odręcznie pod kalkę kolejne rozporządzenie do brygad traktorowych naczelnika od spraw politycznych. Trwała wojna, brakło zapasowych części do maszyn, życie stawało się coraz trudniejsze, ale i ofiarniejsze; powracali okaleczeni z frontów; przybywało ewakuowanych; wdowy jeździły do Siemipalatynska i przywoziły sobie na mężów inwalidów, specjaliści odchodzili na front, zastępowały ich na poczekaniu upieczone specjalistki, praca na niedużym odcinku wyłamywała się z wszelkich harmonogramów. Naczelnik Akulinin był chyba typem burokraty, gdyż ratował się — we własnym tylko mniemaniu — coraz większą ilością rozporządzeń. Okazało się, że w tym kolejnym rozporządzeniu popełniłem kilka byków, oczywiście rzeczowych, bo o ortograficzne nigdy nikt tu nie dbał. Byli nie były moją winą. Gdy mnie zwalniano, komсомолка Ania, pełniąca obowiązki sekretarza, po cichu aż pochłapywała nie dlatego, że czuła przywiązanie do mojej wątpliwej urody. Raz ją niesprawiedliwość, meldowała Akulininowi o tym, iż źródłem mojej przewiny jest jej własna nieuwaga: wniemnie przepisałem byki z odpisów poprzednio przez nią dokonanych. Nie pomogło. Nie pomogły także interwencje buchalterów. Typ miejscowego Optymisty z „Łaźni” Majakowskiego miał jedną odpowiedź: „Odmówi! Odmówi!”

Prawdę powiedziawszy, dosyć miałem siedzenia za stołem w biurze! Nie bardzo tedy przejąłem się, usmiechała mi się funkcja ewidencyjna w jednej z brygad miejscowego kołchozu „Nadirtyszka prawda”. Była to praca bliska chleba i w ogóle tego, czym skapa ziemia mogła tu człowiekowi służyć. Miałbym do dyspozycji konia i utrzymywałbym łączność między pracującą w odległości jakichś dwudziestu kilometrów od sioła brygadą, a zarządem kołchozu, notowałbym dniówki obrachunkowe, czuwałbym nad zaopatrywaniem kuchni brygady w produkty żywnościowe.

Tu znowu — Michasiu, miejże cierpliwość! — muszę rzucić nieco uwag ogólnych. Przy siole i w siole znajdowały się jedynie zaopatrzone w studnię ogródki indywidualne i baszany, step służył jako pastwisko dla niezliczonych stad owiec i baranów, a i to nie wszędzie, w okresie bowiem intensywnych upałów na olbrzymich przestrzeniach stawał się tylko terenem do przebywania pieszego, wołami czy ciężarówkami. Proso, pszenica, słoneczniki rosły na uroczyskach, czasem przez kaprysy przyrody oddalonych o kilka czy kilkanaście kilometrów od poszczególnych kołchozów. Nasza MTS, obsługująca dziesięć kołchozów, działała na przykład w promieniu przynajmniej trzydziestu kilometrów. Sianokosy mieliśmy jeszcze dalej, bo nad Irtysem.

Irtyś! Spalony słońcem, rudordzawy step nagle się obrywał, tam niżej — zaczynało się niezbyt szerokie płaskie po-brzeże potężnej rzeki. Zmęczonego — owiewał wilgotny wiatr, chłodziło twarz powietrze czyste, pozbawione duszącego pyłu stepowych, choćby i przez las ciągnących, dróg. Na rzecze leżały w słonecznym omleniu wyspy, obstarpane przez wierzy. Trawy na tej ziemi, każdej wiosny użyźniane mulem, rosły wysokie, soczyste, bujnie kwitły nad nimi malwy i krzaki głogu!

Mając to wszystko na uwadze, czym prędzej pobiegiem do kantoru kołchozu, do jego przewodniczącego, z prośbą o pracę ewidencyjną w jednej z brygad stacjonujących, a nuż się zdarzy, właśnie nad Irtysem!

Przewodniczący Piotr Pietrowicz Plaksin (opowiadał mi kiedyś o tuwimowskim telegrafście; śmiał się) należał od dawna do moich przyjaciół. Uczestnik wojny domowej „u czerwonych”, komunista — chętnie powracał do wspomnień z pierwszej wojny światowej. Był w niewoli, był we Francji, był w Italii, ba — za jakiś bunt siedział w więzieniu aż w Algierze! I jak daleko nie nosiło go życie — jednak wrócił do swego latem spalane przez słońce, a zimą zanoszonego zawiejami sioła. Nigdzie lepszych miejsc na osiedlenie nie znalazł, choć i do żeniactwa cudzoziemskiej okazji mu się trafiały. Żadna z dróg nie wydawała się temu człowiekowi zbyt długa, zbyt trudna i pogmatwana, żeby z niej w końcu nie wywlokłać tej jednej jedynej — powrotnej.

A o to i mnie właśnie szło. Opowieść zwykłe kończyła się relacją o listach dwóch synów z frontu, a potem przekleństwem:

— Proklatyjt Gittler!... No, nicziewo, jeszcze uwidit, na czjej ulfće budiet prazdnik...

Piotr Pietrowicz z mojej prośby o pracę wyraźnie się ucieszył. Gotów był choć jutro wysłać mnie do jednej z brygad. W pewnym momencie przypomniał sobie jednak, iż musi mieć na to placet... naczelnika Akulinina.

Wrócił do mnie — siedzącego na gan-ku kołchozowego kantoru i gryzącego pestki słonecznika — zły. Nie umiejąc niczego owiać w bawelne, szczerze powiadomił mnie, iż — niestety — naczelnik Akulinin ma co do mojej kandydatury zasadnicze zastrzeżenia.

Zakląłem i poszedłem...

W siole był jeszcze, pykający dymem z żelaznego komina, Zakład Przetworstwa Mleczarskiego. Pracowały tam i niektórzy Polki, żony uwięzionych. Skusiła mnie wieść o tym, iż pracownicy w ramach deputatu otrzymują duże ilości brzydzy, a prawie stale maślanek (he, he... maślanka do dymiących kartofli w mundurkach!). Poszedłem do dyrektorki, Tatariki, Kanajewej. Przyjęła mnie z otwartymi, jak to się mówi, rękami, choć jak się w niedalekiej przyszłości okazało, o brzydzy częściej chodziły niejasne słuchy, niż ją dla nas wydziałano.

Przyjęto mnie w charakterze st. inspektora, miałem kontrolować podległe zakładowi punkty mleczarskie, oraz wypełnianie przez kołchozników obowiązkowych dostaw masła. Do moich również zadań należało wożenie ze sobą metalowych baniek i ewentualne egzekwowanie tego masła (topionego, innych odmian tu się prawie, ze względu na klimat, nie spotykało).

W charakterze środka lokomocji, wbrew przyrzeczeniu, zamiast konia przydzielono mi... wołu, nazywanego pieścziotliwie „Miszką”. Po polsku byłoby to więc: Michaś. Przyszłość pokazała, jak bardzo byłem lekkomyślny, szukając ruchliwszego, niż biurowe, zycia! Prędko przekonałem się, że to ja raczej zostałem przydzielony do Michaśa, niż on do mnie...

Na podwórku Zakładu stały wózki — zaprzężone w konie, woły i wielbłądy — z pełnymi bankami mleka. Uwijały się kobiety, spod wysoko podkaszanych kieciek błyskały uda. Snuł się w tym harmiderze olbrzymi Michaś, łaciaty wół holenderskiego ponoć pochodzenia, opędzający się packą długiego ogona od szczególnie tu licznych much.

Woły zwykle chodzą w jarmach parami, ale Michaś — ze względu na swój daleko od normy odbiegający wzrost — nie miał pary. Spojrzał obojętnie na mnie dużym, ciemno-granatowymi oczami, podnosił co chwila biały, przy nozdrzach aż różowy pysk, szukając naczyn z serwatka lub pomyjami. Był tu, licho wie dlaczego, ulubieństwem. Mówiono o nim: „Niemnożko, jawni jowo, psichowaty, no można przywyknąć...”. Ze względu na osamotnienie, które zawiadzał swojej horpynowej urodzie, pędził życie próżniaczem, z rzadka tylko biorąc udział w niedalekich wyprawach po drzewo opałowe dla pracowników przedsiębiorstwa.

...Pewnego upalnego ranka przystąpiłem do wykonywania obowiązków starszego inspektora. Wtarabianiem na wóz banki, zaopatrywałem się w jakieś wykazy i kwitariusze, w bat i derkę, żeby jechać na kilkudniowe odwiedzin do aułów. Wygodnie usadowiłem się, zwieszając nogi. Zakład znajdował się mniej więcej pośrodku sioła. Aż do baraku elektrowni dojechałem bez przeszkód. Tu jednak — psiaakrew, akurat na oczach znajomych dziewcząt! — Michaś zaczął się niepokoić. Może zrozumiał, że czeka go jakaś dalsza droga, gdyż odezwał się w nim, wynikający niechętnie z próżniactwa, lokalny patriotyzm. Próbował zawrócić. Bat przekonał go jednak o bezcelowości wysiłku. Zwiesił nisko łeb i pokornie ciągnął wóz. Szczęśliwie wyjechaliśmy z sioła. Przed nami ciągnął się step, w dali osłonięty błękitną mgiełką. Gdy — zadowolony z opuszczenia sioła — zabrałem się do skreślenia papierosa i już sięgnąłem po krzesiwo, banki nagle brzękły, stoczyły się na piasek płosząc jakieś skaczące kuzynki szarańczy. Zanim zorientowałem się, Michaś zawrócił i wiozł mnie chyba jak szalony, bo z szybkością równą niemal końskiemu kłusowi w kierunku macierzystego Zakładu.

Próbowałem zeskoczyć, żeby bestię zatrzymać. Wreszcie zeskoczyłem na przeciwną mijaną przez nas, teraz już w odwrotnym kierunku — elektrowni. Nim znalazłem czapkę, już nie mogłem zabić Michaśowi napróżd, nie było tu ani bezpieczne, ani też nie leżało w moich zawsze znikomych sportowych możliwościach.

Dopiero na podwórku Michaś przyszedł do opamiętania. Wywalił swój rozległy jak łopata jeźor i ciężko dyzłał. Wyszło na jaw, że na dobitkę był jakimś wolim astmatykiem i oddech miał krótki, jak sam pan Zagłoba herbu Wczele.

CIEL MICHAŚ

Nie muszę chyba dodawać, że do spółki z Michaśm stanowiąliśmy miłą rozrywkę w monotonnym życiu wszystkich szwendających się tego ranka po terenie Zakładu. Stali, roześmiani, na ganeczku, wyleżli z obory, niektórzy w charakterze galerii — powaskiwali na ploty.

Wyglądem swoim przypominałem raczej zbesztanego przy tablicy uczniaka, niż st. inspektora; chwyciłem Michaśa za postronek, którym miał owinięte rogi, i wyprowadziłem dziadowski ekwipaż z powrotem na ulicę.

Ruszyliśmy powolutku, ze skrzypleniem kół i pobrząkiem baniek. Michaś włożył się nogą za nogą, jak za czymś uroczyście pogrzebem.

Zaczynaliśmy się poznawać... Gdy tylko zdaliśmy się do ostatnich zagrod, jak mogłem najczęściej zeskoczyłem z telegi, odwinąłem z rogów postronek i zacząłem go prowadzić. Udało mi się jeszcze więcej osłabionego, szedł za mną w pokorze. Dopiero po jakichś dwóch kilometrach takiej wędrowki, odważyłem się sięść z powrotem.

Jeszcze tylko wynika różnica zdań, gąsmy znaleźli się przy rozchodzących się w prawo i w lewo drożynach. Ja chciałem jechać zgodnie z dyspozycją aurora Zakładów — w lewo, Michaś — ignorując biuro — upodobał sobie drożynę wiodącą w prawo. Nieporozumienie zostało jednak zlikwidowane przy pomocy paru kłasińców batem. Na stepie Michaś był bardziej mojej woli podporządkowany.

Tu jednak muszę wtrącić, że nawet dłuższe prowadzenie go za postronek nie zawsze zapewniało dążenie w raz wybranym kierunku. Zdarzało się, że i po paru kilometrach takiej wędrowki Michaś umiał jeszcze mnie oszukać i pędem zawracał do siła. W ogóle miał usposobienie zmienne, zaskakujące, trudne do scharakteryzowania.

Jechałem więc... Wczesne lato bez deszczów marynowało roślinność. Zapachu rosy ani wieczorem, ani oddzielnym od niego ulgą jakże zimnej nocy — rankiem. Piasek na polnych drogach siwy, prawie bielejący, trawy rzadkie, zielone tylko w przypadkowych wklęsłościach ziemi, w rzadko zdarzających się dołach i kotlinach. W sosnowych lasach bez podszycia żywca aż skwierczy. Jak dobrze zna się cenę leżącą na teledze nieodłącznej towarzyski, drewnianej beczki z pochłupającą, przy szybszej jeździe, wodą!

Rach i takie same jak u nas liście babki przesympują się między szprychami kół, ślady kopyt momentalnie nikną, jednostajnie i markotnie kołysze się Michaś, harhara chwiejącą rozłożystymi rogami. Wydaje się, że wcale nie posuwa się naprzód, gdyż nie ma obiektów, do których co chwila można byłoby odnosić ruch wozu. W takich chwilach panuje między nami milcząca zgoda, on ma chyba jakieś swoje myśli, ja zaś to wierze próbuję rymować, to fragmenty przeszłości przywołuję i smakuje.

Zagubiony w przestrzeni, Michaś przestał się orientować i już był posuszny aż do najbliższego siła czy aulu. Budził się w nim jedynie próżniak, zupełnie zwałniał kroku z natury bardzo zwolnionego. Gdy go smagnętem, odżywała w nim duma, połączona ze złośliwością, znowu biegł jak jakiś wybrakowany koń, aby po kilku minutach przystanąć z wywalonym jeźdźcem, znowu dyszał jak astmatyk.

Oddychałem, gdyśmy po całodziennym, od świtu trwającej wędrowce, dobiegli wreszcie do jakiegś wsi jak do portu. Lubiłem zwłaszcza wyprawy do sił położonych nad Irtysem. Kłopoty były z tem, jak Michaśa urządzić na nocleg. Nie zawsze udawało go się oddać pod opiekę kołchozowych pastuchów.

Kiedy w czasie pierwszego takiego noclegu — za radą przyjaźni z rodzinnego miasteczka, u których się zatrzymałem — spętałem Michaśa jak konia i puściłem na pastwisko, nazajutrz z rana nigdzie nie mogłem go znaleźć. Typowe woły puszczało się na noc całkiem wolno i rzadko się zdarzyło, żeby zbyt daleko odeszły. Ale Michaś był wołem, którego jakieś złośliwe chichoczące Parki upatrzyły, żeby zatruć życie starszemu inspektorowi jednego z leżnych „Masłozawodów” na olbrzymim obszarze między Pawłodarem a Siemipalatynskiem.

Zmierzylem prawie pół dnia nie na poszukiwanie podatników, ale na tropienie Michaśa. Moja wyobraźnia nasywała mi przed oczy straszliwe obrazy. Widziałem Michaśa tonącego w szerokich falach Irtyśa. Widziałem kości, jakie po nim zostawiły wilki. Widziałem także Michaśa ukradzionego i konspiracyjnie zaprowadzonego do Siemipalatynska na ubój. Ktoś tam właśnie młaska, patrząc na tę górę mięsa narażając jeszcze obciążoną skórą, a potem ja stoję przed sądem rejonowym jako oskarżony i jednocześnie jako świadek, jakajac się płacząc, zeznaje w sprawie Michaśa. W charakterze prokuratora występuje Akulinin.

Dowiedziałem wreszcie do jakiegoś stada krów z kazachskiego kolchozu.

Czyż trzeba mówić o radosnym stanie serca, gdy ujrzałem Michaśa, najspokojniej w „ym stadzie skubiącego chrupiącą, soczystą trawę. (— Co za łaki! — jak z jakiejś innej okazji i o innych łakach powiedział, zdaje się, że sam poeta Wasyli Zukowski. — Chciałoby się być po prostu krową!)

Michaś ani się na mnie obejrzał. Może nawet mnie zauważył, ale udawał, że nie poznaje. Chętnie za to spostrzegł mnie czaban s'ada, stary Kazach w małachaju, zimowej — podobitej owczyń — czapce o kształcie świętego stołka z nausznikami i osłoną dla szyi.

Z daleka, potrząsając wiechciem bródki, wołał na powitanie: — Aman! Amanba!...

Podszedł bliżej. Jak to Kazach, mał wystającą kości policzkowe. Ucieszony ze znalezienia rozmówcy, błyskał głęboko osadzonymi w wąskich szparach oczkami. W koźlej bródce i wyszczypanych wąsach tliła się siwizna.

Był szczerze rad, że mimo woli oddał mi przysługę, przysługując do stada Michaśa. Zapylał o tytoń:

— Temek barma?

Oczywiście, nie tylko poczęstowałem go tytoniem, ale wysypałem mu na dłoń większą część zawartości worczka.

Następem jego pytaniem było, czy mam do sprzedania szaj? Mał na myśli herbarę, sprasowaną w cegielki. Nie miałem, on jednak nie tracił nadziei na przeprowadzenie ze mną choćby najskromniejszej transakcji handlowej. Choć, jak się okazało — a już siedzieliśmy pod krakiem głogu — miał syna na froncie „batyry”, właśnie odznaczono orderem za męstwo, to przecież w n.m samym przeżytki kapitalizmu, ycznej świadomości, od lat widocznie nie chłostane biczem satyry, wprost buszowały. Widząc, że nie nie wskóra, zaproponował mi wreszcie wymianę Michaśa na innego wołu, mniejszego.

— Kiedy ty nie masz takiego laciatego! — broniłem się.

— Mam! — pokazał na jakiegoś chudeusza w stadzie. Powiesz, że twój schudi, a w buchalterii jak był jeden wół, tak i zostanie jeden wół!

Nie mogłem na to przystać. Wziąłem Michaśa na postronek i — jakże niechętnie — poprowadziłem do wsi.

Odtąd w swoich podróżach rzadko puszczałem go na noc w pole, przeważnie podrzucałem mu nawyrwanego ze stogów siano. Bardzo bywał zgorszony! Nawet, jeśli nocleg zdarzał się w stepie, to podjeżdżałem w pobliże ogrodzonej żerdziami stojanki otary owiec czy tabunu koni i raczyłem go suchym wiktem, a sam zasypiałem obok z marnianami o tym, co za siedmioma górami i rzekami.

Pewnego razu, gdy jechałem przez las, Michaś — zresztą chyba dotkliwie pogryziony przez jzy — gwałtownie skreślił i biegiem ruszył na przelaj. Mógł zawadzić kołami o pnie sosen, mógł — zmuszając wóz do skakania przez wykroty — zawadzić o te same pnie moim cennym, przynajmniej z mego punktu widzenia, ibem, nikle chronionym przez wytartą cyklistówkę. Licho wie, jakie otwierały się przed nim perspektywy uszkodzenia mego ciała i wozu, który w razie czego bardziej interesował buchalterię.

Kiedy wreszcie cokolwiek opanowałem sytuację, zdobyłem się na pełen kipiący wściekłości spokój. Wyprowadziłem zdyszanego Michaśa, nawet z fałszywą czułością do niego przygadując, przywiązałem go do sosny i zacząłem okładać batem.

Michaś kreślił się na postronku wokół sosny, rwał się jak opętany. Już zacząłem się bać, że drzewo wyrwie z korzeniami. Stało się inaczej: Michaś po prostu urwał się z grubego postronka. Przez chwilę stałem jak bryła soli, której tu w jeziorach — latem wysychających — nie brakło. Gdy odyskałem przytomność, Michaś jeszcze migał między pniami. Odnosiło się wrażenie, że je najzwyczajniej w świecie roztrząca.

Zatrzymał się na polanie w odległości może dwóch kilometrów od wozu. Naiwny, chciałem go najzwyczajniej ująć za resztę dyndającego postronka. Michaś znowu podał się do ucieczki.

Kiedy uświadomiłem sobie, że w ten sposób moglibyśmy w ciągu paru dni, zostawiając wóz w lesie, dojść może i do Siemipalatynska — zmieniłem taktykę.

— Michaśu... taka twoja mać! — błagałem, wyciągając ku niemu żałosnie ręce.

Nie ruszał się z miejsca, ale i nie pozwalał skrócić pewnego, uznanego chyba za pas neutralny, dystansu.

— Mieszka! Zeby ciebie wilki zadrapały, ty syntetyczny portrecie wszystkich wilch kretynów...

Zerkał uważnie na mnie i ze stoickim spokojem gmerał pyskiem w trawie.

Poszedłem do wozu po kawał arbuza. — Michaśu, patrz jaki słodki arbuza... na... na... na... — wyciągnąłem czerwonej na dłoń kawał arbuza, próbując jednocześnie wkroczyć w sferę neutralną.

Michaś wierzał jak żrebie i oddalał się. Przystawał i obserwował mnie ciemnymi oczami.

Wreszcie, czy to znudzony, czy też spragniony wody, czy może w momencie osłabienia czujności — dał się ująć. Prowadziłem go do wozu z cicha, ale jeszcze wścieklejszą satysfakcją: „Czekaj, bydaku, już ja dla ciebie coś wymyślę!”

Chciałem jeszcze raz złożyć mu skórę, ale przyszło zastanowienie: „A nuż znowu się urwie?” A do celu podróży, jakiegoś aulu, miałem parę godzin jazdy, słońce zaś już tylko przygrzewało, siadając coraz niżej, krwawo oświetlając siwe dna wyschniętych jezior, leśną pustkę, podobną do jezów przydługie piaszczyste wzgórki z jakimiś burzami i błędami po nich cienie.

Postanowienie, żeby na noc zostawić go bez paszy, rozwiło się w aule na skutek refleksji: „A co znowu winien Michaś?! Przecież dzieli nas ileś tam szczebli: ja — najwyżej duchowo stojąca istota żywa i przytem, bądź co bądź, s'arszy inspektor Zakładu Mleczarskiego; on — przeciętny ssak z rzędu kopytnych, w dodatku przez gzy mocno prawdopodobnie poszkodowany... Niech czuje, bydlę, przynajmniej moją nad nim moralną przewagę czyli — niech pije i je!”

Niemniej, nieporozumienia trwały...

Doszło do tego, że swoje niepowodzenia w wykonywaniu obowiązków służbowych jemu przypisywałem. „Autorytetu nie mam, gdy przyjeżdżam na takim bydaku!” — mówiłem sobie. Zresztą wyjazdy i wjazdy stale wyglądały jednakowo: ciągnąłem go za postronek!

Wstydzilem się Michaśa! Gdzie tylko się dało, opowiadałem, iż mam do dyspozycji chyzę, gniadą klacz (taką jak dyrektorka Zakładu!).

We wsiach, gdzie spotykałem Polki, po westchnieniach na temat losu, po wymianie krążących pogłosek i wieści z listów, dochodziło i do pytania:

— Pan na czym przyjechał?

— Oczywiście, że na koniu!

No, i taka rodaczka prosiła o udzielenie konika dla przywiezienia, gdy ja tymczasem załatwiam sprawę, a to opalu, a to jeszcze tam czego. Któżby odmówił?! Musiałem jednak wtedy ze skrucha przyznać się do Michaśa, którego już gdzieś w czymś podwórku ulokowałem. Wbrew mojej głupiej wyobraźni, nie budziło to ani zdziwienia, ani politowania. Wprost przeciwnie, konie w tamtych warunkach były mniej przydatne, Michaś reprezentował wydolniejszą, choć marudną siłę pociągową. Dzięki tedy Michaśowi zasługiwałem czasem na rozszlachaną wdzięczność, co było żenujące, — czasem zaś na bardzo miłe — wdowie lub panieńskie — obiecujące spojrzenia, co z kolei na kilka dni przychylnie usposabiało mnie do Michaśa i do jego kapryśnego charakteru...

Zimą Michaś ustąpiłowił się, całkowicie złojalniał. Stosunki były całkiem poprawne, choć pobawione iskierki jakiegoś żywszego uczucia.

Wykonywałem swoje obowiązki względnie skrupulatnie. W stepie mogliśmy liczyć tylko na siebie...

* * *

Gdy jedziemy na śniegu nie się nie dzieje, dookoła cisza, w której skrypienie sań. Jeśli jednak przyjrzyć się uważnie, to gdzieś niedziedzie przy samej skurupie jakby nie wiadomo skąd sączy się śnieżny dymek. Wiatr podrywa, rozwija w smużki śniegowy pyłek. Nie wiadomo, gdy się nie ma doświadczonego oka Kazacha albo Rosjanina — czy to zapowiedź strasznego buranu, czy tylko niegodne nawet przelotnego spojrzenia — zwykłe figielki. Nie wiadomo, bo tutejsze niebo umie niemal błyskawicznie zmieniać swój wygląd.

...Aż szczerkanie psów i pokiwanie w gestyniejach wieczorne. Nasze siola! Pachną dymy. Wjeżdżamy, wsłuchując się w przytłumione, gdzieś od klubu dolatujące tony harmonii, podkładające się pod piosenkę. Kilku dziewczęcych głosom towarzyszy jeden męski. W piosence smęci się pożegnania:

„...Daleka ty puć! droga,
wyjdź miloja mój,
my prostimsja s tobą u poroga
i byt' mozet nawslegda!”

Głos męski przesadnie akcentujący niektóre słowa, może należeć do kogoś, kto właśnie jutro wyruszy w przestrzenie, zakończone frontem.

Kiedy Michaśa wyprzągłem i poklepałem, przekazując stróżowi, a bańki z masłem zamknąłem w składziku, ruszyłem do swojej jednoizbowej chałupki. Pod walonkami, mocno już przedzielnymi, chrząścił śnieg. Dymy w mroźnym powietrzu kłębiły się pionowo.

W izdebce spotkało mnie wyjątkowo wymowne milczenie matki. Podała mi atramentem wypisaną w sielowskim na kawałku gazety kopię telegramu z rejonowego wojenkomatu. Było to dziesiętnastego grudnia 1943 roku.

Wzywano i mnie do wojska. Wzruszyłem się, serce załotało w sposób odbiegający od normy: zaczął się nowy etap, może właśnie rozstrzygający, w moim życiu.

Nie byłbym jednak wierny prawdzie, gdybym nie powiedział, iż jedną z pierwszych moich myśli na widok wezwania była mniej więcej taka: „Nareszcie rozstałem się z Mieszka, a on — plakrew — nawet nie zauważył mojej nieobecności!”

JAN HUSZCZA

(Z przyg. do druku tomu: „Prawie pamiętnik”)



Marian Jaeschke

Martwa Natura

STANISŁAW BRUCZ

Powrót do „Zachęty“

(O wystawie wiosennej ZPAP)

Bieżąca wystawa wiosenna ZPAP, właśnie dlatego, że jest bieżąca, to znaczy sezonowo-przeciętna, wydaje mi się być charakterystyczna dla zbiorowej postawy łódzkiej grupy malarskiej. Nie ma tu nic odświeżającego, nic „z okazji”, „ku czci” lub „w związku”, słowem — nic co by prestiżem okolicznościowego tematu przesłaniało artystyczną codzienność wystawców. Ot, są oni po prostu sobą — i po tym naturalnym sposobie bycia sądzić ich będziemy.

Wyznacząc zatem muszę, że w miarę jak wędrowałem od płótna do płótna, czułem się coraz bardziej przytłoczony i zgnębiony. Wystawa składa się w dziełach dziesiątych, a w dziele sztalgowym niemal bez reszty, z pejzaży, martwych natur i kwiatów. Pejzaże są czyste i sielankowe jak przystało na „landszafy” z mieszczańskiej jadalni, martwe natury — owocowo-talerzowe (jedna z gaską), kwiaty — pastelowo-kameralne. Z wyjątkiem prac Lecha Kunka, nic tu nawet nie napomina o tym, że na dworze jest rok 1955 i że otacza nas miasto robotników, którzy bądź co bądź usiłują zbudować socjalizm. Salonik CBWA robi wrażenie jakiejś arkadyjskiej wyspy, szczęśliwie umiejscowionej gdzieś poza czasem i przestrzenią, oazy malarsstwa czystego, załudnionej przez arielów barwy i światła.

Jest to, oczywiście, tylko wrażenie. W istocie, cała wystawa da się doskonale umiejscowić w przestrzeni i w czasie: mianowicie, w warszawskiej „Zachęcie”, na początku drugiej dekady międzywojennego dwudziestolecia. Przy czym dodać muszę, że w „Zachęcie” widywałem wystawy o wiele lepsze i śmielsze, imponujące niekiedy rozmaitością indywidualnych stylów, prawie zawsze wyposażone w bardzo przyzwite portrety i kompozycje figuralne. Powiedzmy więc, że nasza wiosna malarska anno 1955 jest wycinkiem jednej z gorszych przedwojennych wystaw „zachętych”, i to pomimo, a może właśnie dzięki przyłapaniu orygłom Van Gogha (pejzaże Sabiny Gliksman) czy Vlaminka (Karol Piasecki). Mistrzowi Mackiewiczowi chciałbym szeptać na ucho, że takich nastrojowo zamglonych, „noktambulicznych” pejzaży miejskich, jak jego „Łódź, ulica Piotrkowska”, widziałem w „Zachęcie” dziesiątki; równie dobrze w nazwie jego płótna mogłoby figurować każde inne miasto i każda inna ulica, tym bardziej że w nocy wszystkie koty są szare.

Jestem ostatni, który by chciał głosić nawrót do tematycznego realizmu sprzed XI sesji Rady Kultury i Sztuki; to znaczy — do impresjonistycznie malowanych robotnic z młotem w ręku, do lenowsko-łlammadzich wizerunków przodowników pracy, do fabrycznych obrazków rodzących i pejzaży przemysłowych a la Malczewski. Ten okres — ponure drobniomieszczańskie anegdoty — jest już szczęśliwie za nami i nie ma doń powrotu. Ale jak nasi artyści (nie tylko łódzcy) zrozumieć glej, „odwagi i prawa do eksperymentu”, przynajmniej im przez ową historyczną sesję? Jako zachęte (bez cudzysłowu) do powrotu w zacisze pracowni, w abstrakcyjny świat metafizycznych przeżyć i absolutyzowanych form malarskich. Ani mi w głowie podawać w wątpliwość znaczenie pejzażu i martwej natury. Jednakże, metafizyczność przeżycia pejzażu czy przedmiotu bynajmniej nie przeszkadza naszym malarzom stosować ograniczeń i bardzo historycznych chwytów i uchwytów — post-chełmońskich czy post-pankiewiczowskich, post-courbetowskich czy post-bonnardowskich. Wstyd powtarzać takie truizmy, ale jeśli prawda jest, że „sztuka to człowiek dodany do natury”, to przecież ani człowiek ani natura nie są niezmienni i człowiek drugiej potrawy naszego wieku nie może widzieć natury tak, jak ją widział czło-

wiek drugiej połowy dziewiętnastego czy początku dwudziestego. Wystarczy postawić obok siebie „Koncert wiejski” Giorgione i „Śniadanie na trawie” Maneta, aby się przekonać, jak różne były wizje świata w zaraniu i u schyłku tej samej formacji kapitalistycznej. Nasi malarze nie mają najmniejszej ambicji ujrzenia nowymi oczami świata w którym żyją, nowego świata formacji socjalistycznej. Zadowala ich, w najlepszym wypadku, burżuazyjny realizm drugiej połowy ubiegłego stulecia, a najeźdźcą drobniomieszczańską estetyką krakowskiej „Sztuki” i warszawskiej „Zachęty”. Dokąd właśnie wracają pod sztandarem odwagi i prawa do eksperymentu.

Przechodząc do omawianej wystawy łódzkiej, to, z jednym wyjątkiem (o którym niżej), nie znajdziemy tu ani krzty odwagi, ani śladu jakiegokolwiek próby rozbicia nowego człowieka i twórczości przez niego rzeczywistości. Nie ma tu ani jednego pejzażu, przy którym warto byłoby zatrzymać się dłużej, który zamykałby w sobie emocję człowieka i twórcy, że wstydlwie pomnę jedyny zabłąkany tutaj portret olejny. Fajująca jest natarczywość „martwej natury”. I znowu — smieszne byłoby negowanie użyteczności nie tylko warsztatowej, ale i estetycznawychowawczej tego gatunku. Martwa natura, pod pejdłem dobrego malarza, może być lekcją dialektycznej współzależności rzeczy, pokazem ich wzajemnego przenikania się i kontrastowania, ich cichego współżycia (dlatego niemiecka nazwa martwej natury — „stilleben” — wydaje się o wiele bardziej trafna). Z drugiej strony martwa natura może być odkryciem plastycznej anatomii przedmiotów. Do pierwszej kategorii zbliża się nieśmiało praca Mariana Jaeschke, choć razi tu wymyślna reżyseria zespołu rzeczy. Do drugiej ukracza o wiele odważniej Lech Kunka: jego martwa natura, nazwana „Egzotyka Naseber”, uderza zmysłową materialnością faktury, brutalną ekspresją przedmiotów, opracowanych na jednej płaszczyźnie barwnej.

Wyjątkiem, o którym wspominałem wyżej, jest „Bellojanis” tego samego malarza, jedyny na wystawie obraz usiłujący nawiązać do historii bieżącej, dać świadectwo prawdziwej naszej czasów. Już sam fakt, iż praca ta ukazuje się w trzy lata po straceniu Bellojanisa, świadczy o tym, że jej autor długo nosił w sobie i przetrawiał ideę i koncepcję płótna. Nie jest ona arcydziełem, jej ujęcie kompozycyjne i stylizacyjne traci jakimś monachijskim symbolizmem — niemniej jednak obraz przyciąga wyrazem autentycznego wzruszenia. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że Kunka ułaskił się spojrzenia Bellojanisa i dlatego zakrył mu oczy białą przepaską; ale po namyśle przynajmniej się malarzowi rację: nie lek poddyktował mu jego poczucie, lecz dyskretna i artystyczna poczucie elipsy; biel przepaski stanowi dominujący akcent tragicznego obrazu, pod nią szara twarz Bellojanisa technicznie mroczna i wzniosta, rzekłbyś, daleko widząca energią. Dodajmy, że Kunka ma nie tylko inklinację, ale i dar operowania pełnią walorów barwnych.

Wraz z Kunką honor wystawy ratuje w pewnej mierze dział grafik, gdzie znajdujemy dowcipne i wnikliwe rysunki dzieci Teresy Tyszkiewicz, interesujące szkice Stanisława Fijałkowskiego i Benona Liberskiego, wreszcie drzeworyty Kazimierza Wąsa, w których rewolucyjna tematyka znacznie góruje nad wykonaniem, grubo ciosanym i schematycznym. W dziale rzeźby zastępuje chyba na uwagę Bolesława Pacanowskiego metalowa płaskorzeźba głowy Mickiewicza.

STANISŁAW BRUCZ

Czechowicz

CZECHOWICZA poznałem w listopadzie 1933 roku i od tego czasu aż do swego nagłego wyjazdu z Warszawy wczesną wiosną 1939 roku spotykałem go niemal codziennie. Łączyła nas przyjaźń — wzajemne zaufanie, wzajemne zrozumienie... To Czechowicz ułtował się nad moją rozpaczną biedą i dopomógł mi do wyrwania się ze wsi. A jakich wybiegów używał! Pisał do mnie listy, że sprzedał moje wiersze i wysłał mi honoraria z najprzeróżniejszych miejsc, sygnując przekazy najdziwniejszymi nazwiskami. Byłem na tyle młody, naiwny, niezsapowany, że wierzyłem słowom Józefa i honoraria odbierałem z dobrą wiarą. Jakże Józef śmiał się z mojej naiwności, gdy rzecz się w końcu wyjaśniła, ile przy tym dopowiedział na ten temat ukul, ani arkusz by ich nie pomieścił.

Nie było nigdy między nami większych starć. Nawet w okresie późniejszym, kiedy mnie porwał bez reszty życie innych grup literackich, nie zapomniałem sobie. Pochłonięty nowymi pracami i znajomościami, znajdowałem jednak czas, by wpasować do Józefa na ul. Narbutta i zwierzyć się, wysłuchać nowych planów, nowych wierszy przyjaciela.

Nawzajem Czechowicz wiedział gdzie mnie szukać. Niekiedy już o 11-ej wpadał na czele swej gromadki do Ziemianki na Mazowiecką, bo był pewny, że mnie tam zastanie w towarzystwie Andrzeja Jędrzejewskiego, Otwinowskiego i innych. Był zazwyczaj w czarnym swetrze, nie dość starannie ogolony, z oczyma pływającymi i nieodłączną fajką, którą prezentował wszystkim z dziecięcą przekorą.

Jaki był w życiu ten piękny poeta, jeden z najbardziej subtelnych, czystych liryków naszej literatury? No, eteryczności w nim było mało — tegi, prawie tusty, wzrostu też dość pokaźnego. Lecz twarz nie przystawała do silnego korpusu, miała urok dziecięcy, sprawały to nos kształtny i mały, usta o miłym łagodnym wykreśleniu, głos sepieniący, przydechowy, jakiś prywatny i liryczny.

Czechowicz lubił śmiać się, dowcipować, potrafił nawet, gdy się znalazł w swej gromadzie, tupnąć na ulicy i gwizdnąć, jakoś to jednak nie pasowało do niego.

Poznałem i drugą stronę jego natury, którą tał, z której nie lubił zwierzać się ludziom. W pewnym okresie życia groziła Józefowi ślepotą, gniebity go odtańd lęki nagie i rozpaczy, nigdy się właściwie od nich nie uwolnił.

Był bożyszczem młodzieży poetyckiej w latach tuż przed wojną. Młodzi przepadali za nim, bo brała ich urzekająca czechowiczowska liryka, a również bezpośredniość, nieporównany czar osobisty poety.

Nie było w Czechowiczu nic z pozy, nie z wywyższenia. Był kolegą, przyjacielem, opiekunem swojej wielkiej gromady, w której kręgu najbliższym byli poeci lubelscy: Bronisław Michalski, Henryk Domański, Władysław Podstawa, Wacław Mrozowski, Wacław Iwanicki, Czesław Janczarski, Jerzy Pleśniarowicz, a również inni, jak choćby śmieszny i tragiczny zarazem, Artur Ręczyca.

W drugiej fali nie brakowało już dzisiejszych sław. U Czechowicza spotykało się co wieczór w pewnym czasie Jerzego Putramenta, Jana Spiewaka, Zbigniewa Bieńkowskiego, Jerzego Zagórskiego i wielu, wielu innych.

Tworzyliśmy ostatnią i może najbardziej nieszczęsną cyganerię warszaw-

ską. Było trochę blagi, naiwności w naszym życiu, ale ileż samozaparcia, uczciwości i bezgranicznego umiłowania poezji.

Zyliśmy w wspólnocie; wspólne były pieniądze, bo ich było mało, wspólne niejednokrotnie ubrania, bo niejednemu go brakło.

To, że jedliśmy od czasu do czasu normalnie, że chodziliśmy zimą w płaszczach, było już zasługą kochanego Józefa. Dzielili się z nami swymi niewielkimi zarobkami (pracował jako redaktor „Płomyczka”), kupował na wszelkie bieżące, a nawet przydziewek cięższego kalibru. Byli i tacy, którzy nadużywali dobroci poety, lecz on machał tylko ręką, gdy mu to wymawialiśmy, naprawdę sprawowało mu radość niestychana, że może kogoś wesprzeć w biedzie, rozjaśnić komuś przykre życie...

Józef był nie tylko pięknym człowiekiem, lecz i twórcą wyjątkowym. Nie było w nim nienawiści i zawiści zawodowej, wyróżniał się tym spośród skłóconego warszawskiego środowiska literackiego.

Uwielbiał klasyczną poezję polską, Słowackiego i Norwida, chylił czoło przed Wyspiańskim, zachwycał się Tuwimem i Gałczyńskim, a również Wążykiem i Przybosiem, z największym uznaniem mówił nawet o ludziach, którzy go nie cenili.

Bo trzeba wspomnieć i to, że Czechowicz, tak uwielbiany przez młodzież literacką, nie cieszył się nigdy względami starszego pokolenia poetów, którzy mieli go za nie i niekiedy zwalczali gwałtownie i złośliwie.

W latach tuż przed wojną spotkały Czechowicza ciężkie ciosy, umarta mu ukochana matka, stracił posadę i popadł w nędzę, stał się obiektem gwałtownej nagonki faszystowskiego „Prosto z mostu”, bliski był załamania...

Ostatni raz widziałem Józefa w smutnych okolicznościach. Było to po niedanej premierze jego jednoaktówki: „Czasu jutrzejszego” w marcu 1939 roku. Spędziłem z nim wtedy wieczór, byli z nami Horzycy, Władysław Sebyła, Staś Rogowski i jakiś malarka, nazwiska już nie pamiętam. Wyszliśmy z lokalu odprowadzić Józefa aż do Alei Jerozolimskiej, milczeliśmy obydwa, nie zdobyłem się na słowo pocieszenia. Czechowicz był rozgoryczony w najwyższym stopniu. Zegnął mnie powiedział, że najwięcej przykrości spotyka go od przyjaciół — tak się to dzieje...

Nie wymieniliśmy już listów, lecz Czechowicz często mnie wspominał, bał się moimi perypetiami matrymonialnymi, które po swoim kolorystycznym i przeinaczalnym, O wszystkim donosił mi drugi najbliższy przyjaciel, poeta Henryk Domański. Z jego ust dowiedziałem się szczegółów śmierci Czechowicza. Na dwa lata przed swym tragicznym końcem Domański był u mnie w Wielowieścu, nagadaliśmy się do syta, nie przeczuwając nieszczęścia...

Obydwa poeci opuścili razem Warszawę w pierwszych dniach września, zdającą do rodzinnego Lublina. — Tak się Józef bał tych bomb, tak się bał — wspominał Henryk — a potem, gdy podrywaliśmy się do biegu, widać to samo stało mu przed oczyma — że źle do tego czasu pisał — że teraz dopiero czuje, jak powinien tworzyć...

O czym wtedy myślał? Może o tym, że w jego ciele, cudownie klarownej liryce zabrakło namiętnych tonów politycznych, zabrakło nienawiści do faszystów, do wroga...

STANISŁAW PIĘTAK



J. CZECHOWICZ

JÓZEF CZECHOWICZ*) nie da się zamknąć w jednej formule krytycznej. Dobrze się więc stało, że Jan Spiewak zainicjował dyskusję o tym poecie. Na pewno odszuka ona i ukaze prawdę zjawiska, którego nie można lekceważyć ani pomijać.

Józef Czechowicz debiutował w 1927 r. Na mapie poetyckiej tych lat autor „Kamienia” zaprezentował się jako przedstawiciel awangardy biorący rozbrat z tradycyjnymi środkami wypowiedzi. Wiersze jego mówiły o konflikcie moralnym ze „starym światem”, obnażały konwencjonalne mity, ujawniały kontrasty społeczne, chciały burzyć hierarchie usankcjonowanych wartości. Czechowicz dał się poznać jako „poeta ziemi” o uczulonym sumieniu społecznym, jako człowiek dotknięty kompleksem śmierci, który w następnych tomikach nabierał cech obsesji, uzasadnionej zresztą i dziś zupełnie zrozumiałej. „Kamień” przyniósł nową budowę wiersza, tzw. układ rozkwitający**), oparty na poetyce asocjacyjnej, według której wiersz rozwija się jako suma skojarzeń, jako progresja obrazów w jednym łańcuchu przyczynowo — skutkowym. Poemat rozkwitający, pomnożony w następnych tomikach o kompozycję muzyczną, stał się nowatorskim wkładem Czechowicza do poezji polskiej.

Spokrewniony z poetyką nadrealistów, Czechowicz musiał im spłacić należny trybut podejmując tematy freudowskie, wykorzystując poetycko sen i przyćmione stany świadomości. Treści te domagały się nowej konstrukcji, przystosowanej do przebiegu takich stanów. Już w pierwszym tomiku obserwujemy charakterystyczny chwyt metaforycznego woalowania jednoznacznych obrazów realistycznych, chwyt, który wszedł do stałego repertuaru środków Czechowicza aż po „nutę człowieczą”. Bunt przeciw zastanym konwencjom, przeciw układowi stosunków społecznych, słabnie w następnych tomikach. Dopiero „nuta człowiecza” przyniosła niezapomniany, charakterystyczny dla realistycznego widzenia rzeczywistości u Czechowicza utwór „Pod Dworcem Głównym w Warszawie”. O tym, dlaczego tak było, dlaczego wola buntu, wola przekształcenia rzeczywistości słabła, niech mówią ci, którzy go znali. My pozostawiamy przy tym, co mówią jego wiersze, a przecież nie mówią one wszystkiego o człowieku.

*) Józef Czechowicz. Wiersze wybrane. „Czytelnik”. Warszawa 1955.

**) Zapożyczony u Tadeusza Pełpiera; Czechowicz jednak uściwił to, co u Pełpiera było postulatami (przyp. Red.).

poeta wrócony życiu

Jeśli mamy mówić o Czechowiczu — realista, usiłującym dostrzec centralne zagadnienia społeczne swojej epoki, należy pamiętać o jego filiacjach z poetyką kreacjonistyczną, wbrew której realizm jego dochodzi do głosu. Należy pamiętać o zjawisku, które zazwyczaj mać obraz twórczości, u Czechowicza zaś jest elementem indywidualizującym styl: o częstym sąsiedowaniu na terenie jednego utworu dwóch poetyk: realistycznej i fantazjotwórczej, często górującej nad empiryczną, obiektywną obserwacją rzeczywistości. Wierze realista i fantazjotwórcy w jednej osobie? Tak, nieraz na przemian, a częściej równolegle. Dotykając spraw światopoglądowych w poezji Czechowicza łatwo jest przedstawić błędnie. Wydawcy przyznają, że wstęp uprościł te sprawy, podobnie jak i zagadnienie nowatorstwa. Realista Czechowicz jest na pewno tam, gdzie zbliża się do życia, do jego konfliktów. Robi to często wprost, często aluzyjnie. Jest nim na pewno w wierszach: „Front”, „Wieżień miłości”, „Daleko”, „Jedyna”, „Dzisiaj Verdun”, „Dzień”, we fragmentach „Amputek” i „Wąwozów czasu”, w utworach „Mózg lat dwunastu”, „Pod Dworcem Głównym w Warszawie”, „Za”, „Moje Zaduszki”, „Wigilia”. W tych wierszach ukazuje obraz swojego czasu nie udzielając mu aprobaty, tutaj określa niekiedy trafne zasady egzystencji świata kapitalistycznego, dostrzega walkę klasową na wsi („Daleko”). Jednakże wydaje mi się, że Czechowicz to przede wszystkim niezdołność wyboru. Wybiera trzecią drogę, paradoksalną, poezję. Świadomość faktu, że jego poezja zdradza go, jego, który rzucił wyzwanie staremu światu i załamał się, towarzyszy mu stale. Nie darmo będzie mówił o „łańcuchu, którego nie rozciągnąć”, nie darmo straci orientację w wydarzeniach owego czasu. Jest to dezorientacja typowa dla postępowej inteligencji w latach faszystacji reżimu pomajowego. Zresztą wydaje mi się, że doskonałym kluczem do postawy światopoglądowej Czechowicza jest wiersz „Dzisiaj”.

II

Pesymizm Czechowicza jest chyba pesymizmem społecznym, a nie „nieodjętą barwą bytu”, jak to dawniej sądzono. Mówią o tym utwory wymienione, mówi o tym wiersz „Do Tereski z Lisieux”, polemika z wartościściami fideistycznymi, które „niedoli dziecko” odrzuca. Był to pesymizm zrodzony z przecucia wojny, z izolacji w estetyzującym nurcie, w którym się Czechowicz szamał. Ujawnia się tu wewnętrzny konflikt pisarski, tęsknota do „słów dnia zwykłego”, do zerwania z „fałszowanymi zmierzchniami i jutrzniami”. Był to pesymizm płynący z przeświadczenia o bezużyteczności sztuki, która chce „łowić sny i obdarowywać nimi bliźnich”. Trzeba było śpiących na asfalcie i betonie układać w piękny wzór, trzeba było stołować ze zgłnitymi krokowłami okwiecać skłosem, trzeba było, oglądając wielkie metropolie, ogniska sprężności kapitalistycznych, żegnać się z resztkami optymizmu lat młodzieńczych.

III

Fantazjotwórstwo Czechowicza zacieralo czytelność świata, deformowało jego obraz. Świat domagał się rzeczywistego wyglądu. Przedmioty dmwały z pięknej, ale antyrealistycznej poetyki, która odbierała im realne kształty. Chciały pozostać sobą. Poeta, czując się zbędny i osamotniony, odsuwa się na peryferie, do zaułków, gdzie wiatr

śpiewa pustkę, pająkom na furcie dębowej, „Elegia niemocy”, „Elegia żalu” i „Elegia uśpionia”, to trzy skrócone etapy odejścia od rzeczywistości.

Czechowicz przejdzie do poezji polskiej, jako fantazjotwórca, który w pełni realizował zasadę, iż wszystko może być wszystkim, wszystko można sprowadzić na pogranicze snu i jawy. Skarżono się często na niezrozumiałość tej liryki. Istotnie, poeta opuszcza często członki wiersza, stosuje układ eliptyczny wyrażany równoważnikami zdani, podmiot jest tu domyślny, nie wiadomo o kogo lub o co chodzi. Zdanie jest rozbitne, urwane, niedokończone, układ metaforyczny pączkuje coraz to nowymi obrazami. Wyrzucanie dopełnień i okoliczników, stosowanie dowolnych peryfraz, czyniło często z wiersza sumę niewiadomych, sprawiało, że niektóre utwory interpretowano fałszywie, jak na przykład „Zdradę”, która, ukazując dziewczynę uwiedzioną przez panica z dworu, jest przecież motywem wyjętym z pieśni ludowej, ale przełożonym na język poetyki kreacjonistycznej, zacierającej jakiekolwiek ślady bezpośredniej wypowiedzi poetyckiej. Tak budowane wiersze mogły narzucić złudzenie, że ich autor uważa świat za niepoznawalny, irracjonalny. Nie bardziej błędne. Źródłem tych nieporozumień była zagmatwana technika poetycka lub zwroty pseudo-filozoficzne, ładne ale werbalne, jak „wieczność bez dna”, przypominające lenartowiczowskie pragnienie „miłości bez końca”, albo zwrot „że pod kwiatami nie ma dna, to wiemy, wiemy, wiemy”. Odczytamy raz jeszcze „Zapowiedź” z tomiku „Dzień jak codzień”. Oto wiersz dekonstruujący pseudometafizykę Czechowicza! Czechowicz pozostanie w poezji polskiej jako poeta-regionalista, piewca Lublina, Włodzimierza, Puław, Kazimierza. Był nowatorem w podejmowaniu pieśni ludowej, jej melodiki, obrazowania. Był na drodze do „szopenizacji pieśni ludowej”. Pracę przerwała mu śmierć. Muzyczność wiersza wyróżniała go spośród innych przedstawicieli awangardy. To ona stanowiła o uroku jego najlepszych wierszy. Awangardziści poświęcali dla metafory wszystkie inne elementy wiersza. Czechowicz rozumiał, że nie ilość metafor, lecz ich trafne rozmieszczenie jest decydujące, doceniał je, ale nie przeceniał, szukając prostoty w pieśni ludowej. Wiersz Czechowicza poznajemy po skojarzeniach fonetycznych, które są często regulatorami treści wyobrażeńowych, po aliteracjach, po onomatopei, po częstych przemilczeniach. Bezspornym wkładem Czechowicza do poezji polskiej jest przemieszczenie wiersza wolnego i regularnego na terenie jednego utworu. Po tym poznajemy wiersz Czechowicza, po jego inwokacjach, zaśpiewach, interpolacjach rytmicznych piosenki ludowej, często po robocie słowotwórczej — słowem po jego własnym indywidualnym stylu. Był to poeta obdarzony wielką samowiedzą pisarską, kulturą literacką i miłością języka.

Parę słów o wydawnictwie. Dlaczego tak wstydliliśmy, małymi cziownikami wybito nazwisko poety? Dlaczego nie dotarło do wierszy nie opublikowanych, skoro wiadomo, że one istnieją? Dobrze się stało, że znalazły się w wyborze wiersze dla dzieci. Im to zawdzięcza Czechowicz, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat trwał żywy w czytelnkach dla działu szkolnej, Czechowicz dziś cały wrócony życiu.

JERZY WALEŃCZYK

„Krakowiaczy i górale”

31-letni Jan Stefani, wybierając się w roku 1771 do Warszawy, nie przeczuwał nawet, że wynikiem jego podróży będzie trwałe miejsce w historii polskiej muzyki. Nie dlatego, by zbyswało mu na aspiracjach, ale stanowiło kapelmajstra orkiestry króla Stanisława Augusta nie wróżyło jeszcze czeskiemu muzykowi nieśmiertelności. I nazwisko Stefania pozostałoby zapewne tylko jedną więcej pozycją w almanachu operowym, gdyby los nie zetknął go z człowiekiem, który historii polskiego teatru właśnie tworzył. Tym człowiekiem był Wojciech Bogusławski.

Opera polska przeżywa wówczas swoje lata niemowlęce, ale jakże znamienne! Ten początek dla chwilowej rozrywki magnacki podrutek, zwraca się właśnie ku nowemu opiekunowi — mieszczaństwu i nabrawszy dzięki niemu sił, staje w służbie narodu. A naród rozdarł zaborami pilnie tej służby potrzebuje.

Powiedzmy szczerze: pierwsze ścieżki naszej opery nie były wybrukowane twórcami geniuszu muzycznego. Ale bezpretensjonalne wodewile i operetki Kamińskiego, Hollanda, Wejnerta czy Kajetanego mają tę cenną zaletę, że

są pisane... do polskich słów. To już na owe czasy bardzo wiele. Gdyby jeszcze muzyka była prawdziwie polska! Choć tu i ówdzie przewijają się w niej nieśmiałe reminiscencje krakowiaka lub poloneza, ma ona akurat tylko samo wspólne z Polską, co i sami kompozytorzy — jak jeden mąż importowani z zagranicy.

Brakowało więc polskiej operze tego, „co jest każdemu narodowi najbliższe — narodowości”. A ponieważ oczy całego społeczeństwa zwrócone były ku ludowi krakowskiemu, świeżo odkrytemu sławą pod Racławicami, tam właśnie znajduje natchnienie Bogusławski. Przysła mu „myśl wystawienia na scenę tych wesołych i rubasznych Krakowiaków, którzy śpiewając uprawiają ziemię, śpiewając biją się o nią”. W krótkim czasie pomysł znajduje swój kształt sceniczny wraz z „ulóżoną przez J. Pana Stefania muzyką”. Premiera odbyła się w Warszawie 1-go marca 1794 roku. Nowa opera otrzymała tytuł „Cud mniemany czyli Krakowiaczy i Górale”.

Temat zatargu krakowiaków i górali o dziewczynę posłużył Bogusławskiemu jedynie za odcisknięcie do aktualnych, zresztą zamaskowanych aluzji politycznych — tak celnych, że zjednało to operze przydomek polskiego

„Wesela Figara”. Czyli termometr cenzury carskiej zasygnalizował od razu groźne niebezpieczeństwo, ukryte pod pozornie naiwną sielanką. Po trzech dniach przedstawienie zawieszono. Ale było już za późno. Swojskie, oparte na ludowych melodiach piosenki z „Krakowiaków” śpiewała już cała Warszawa. Więcej: nawet rosyjskie orkiestry wojskowe grały z upodobaniem arie z nowej opery. Zresztą niedługo. W miesiąc później wybuchło powstanie. I „Cud mniemany” wraca triumfalnie na scenę warszawską. Już na zawsze.

Ten skarb postępowych tradycji narodu polskiego doczekał się w naszych latach swojej drugiej młodości. Zawdzięczamy to nieodżałowanemu mistrzowi, Leonowi Schillerowi. W jego inscenizacji „Krakowiaczy”, wystawieni w roku 1946 na scenie b. Teatru Wojaka Polskiego w Łodzi, zyskali najwyższą rangę artystyczną i rumieniec nowej aktualności.

Aby opera mogła na dzisiejszym widzu równie silnie, jak przed stu laty, wywrzeć wrażenie, Schiller poddał jej tekst twórcemu przetworzeniu, aktualizując niektóre, niegdyś żywe, dziś zwietrzałe aluzje i dopisując współczesne kuptety i prologi. Zabieg ten miały zresztą swoje tradycje w naszym teatrze. Tekst: „Krakowiaków” tak często był dostosowywany do potrzeb chwili, że nie znamy nawet jego dokładnej pierwotnej wersji autorskiej.

Schiller stworzył widowsko niezapomniane, które weszło do historii polskiego teatru. Na szczęście pozostawił po sobie tak dokładną partyturę insce-



Teatr im. St. Jaracza i Opera Łódzka. Krakowiaczy i Górale W. Bogusławskiego i J. Stefania, insc. L. Schillera. Reż. B. Kilkowska i T. Cygler, scenografia W. Daszewski. Nowe opracowanie muzyczne: R. Iżykowski i W. Raczkowski. Akt II, scena zbiorowa.

natorską, że możliwe stało się wskrzeszenie jego dzieła.

Jest głęboka wymowa w tym, że Łódzki Teatr im. Jaracza, ten teatr, który pierwszy po wojnie wystawił „Krakowiaków” w odkrywczej inscenizacji Schillera, podjął obecnie inicjatywę po-

nowego wystawienia „Śpiewogry”. Kolektyw tego teatru, przechowujący troskliwie schillerowskie tradycje, miał pełne prawo powziąć i zrealizować to zaszczytne zamierzenie. Współpartnerek jest młody, ambitny zespół wokalny Opery Łódzkiej.

Wieści i wróżby

Okazuje się, że wcale nie jest trudno być prorokiem. Mniej więcej rok temu Krzysztof Teodor Toeplitz przepowiedział fiasco „Opowieści Atlantycznej”. I rzeczywiście film się przewrócił. Ale nie tak jak przewidywano, nie na ten bok. „Maty” Toeplitz z gracją fiknął kota i przyrównał „Opowieści” do kregla, który może się przecieć przewrócić na różne strony. W rezultacie felietonista „Nowej Kultury” wykrzykował radośnie po roku, że jednak miał rację.

Tak, tak, nie trudno być prorokiem. Do tego — z tym... Zatem, mając w zanadru ów kregielek, spróbujmy trochę powrócić na temat nowych polskich filmów.

Mija, zdaje się, druga rocznica od chwili zatwierdzenia do produkcji „Podhale” w ogniu. A filmu jak nie ma, tak nie ma na ekranach. Powiedziemy od razu — dawno gotowy film, debiut młodych reżyserów, nie jest specjalnie udany. Nie wysłała postać Kostki-Napierskiego, który w zamierzeniu autorów miał być trybunem ludowym, z domieszką Hamleta i Fanfana la Tulipe. Cały film jest nieco nudny, a zupełnie irytuje natywny wątek miłosny.

To prawda — ale na ratunek już grubo za późno. Tymczasem nadal radzą nad nim przeróżne konsylia i komitety. Znamy, znamy... Przeróbki i dokrętki dobiły niedgdyś ostaniecznie „Zalogę”, wiele zepsuły w „Domu na pustkowiu”. Oczywiście, w tamtych filmach były wyraźne błędy polityczne, pewnie zatem zmiany (choć nie wszystkie) były słuszne i konieczne. „Podhale” cierpi jednak na inne schorzenia — niedostatki artystyczne, nudną dramaturgię, okropne dialogi, tu i ówdzie źle obsadzone role. A tego już żadne przeróbki nie zmienią.

Podobne i inne kłopoty mają dalsze dwa filmy zesłorocznej produkcji: „Zaczarowany rower” i komedia „Irena, do domu”. Reżyserzy narzekają na słabe scenariusze, scenarzyści na niedostatki reżyserii.

Ostatni z filmów 1954 r. „Trzy starty”, składanka z trzech nowel sportowych, dobiła do mety — ekranu w niezłej kondycji. Jest to film o niewielkich ambicjach, ale można mu przepowiedzieć, że pogodzi krytyków z opinią tzw. zwykłego widza. To znaczy — o dziw — będzie się podobał i jednemu i drugiemu. Szczególnie nowela kolarska, wyreżyserowana przez Stanisława Lenartowicza. Warto zapamiętać nazwisko młodego reżysera, który jest także autorem pięknego filmu oświatowego „Miniatury Kodeksu Bocheńskiego”.

O „Zemście” wspominaliśmy już w jednym z numerów „Kroniki”. Reżyserowie Bohdziewicz i Korzeniowski wzięli na ambit, aby z przedwojenną komedią zrobić film. Nie ekranizację konkretnego spektaklu teatralnego, lecz pełnowartościowy film, coś równie oddalonego od teatru, jak „Henryk V” Laurence’a Oliviera. Piękne ambicje, przy kolosalnej przeszkodzie do pokonania: wierszowane dialogi.

Czy wynikiem z tego dobry film? Słychać już na Łąkowej zdania o doskonałych zdjęciach barwnych Wóhla, o wielkich kreacjach aktorskich Kondrata i Kurnakowicza (Czesław). Stawiając jednak generalną prognozę, zdajemy się na powściągliwie wypowiedzi reżyserów: filmowanie „Zemsty” jest przedsięwzięciem bardzo ryzykownym. Ale chyba starszy Fredro nie pozwolił za grubo skrzywdzić swego najlepszego dzieła.

Prowokator, szpieg i dywersant, to bohater „Cienia”, o którym również wspominaliśmy; bohater negatywny, ukazany w trzech epizodach: okupacja, zaraz po wojnie i najbliższa współczesność. W drodze od noweli Scibora-Rylskiego do scenariusza zaszyły w filmie pewne zmiany. Wyleciała dęta i nieprawdopodobna historia z czołgami, na jej miejsce scenarzyści dopisali epizod o sabotażu na kopalni. Co prawda i ten nie dorównuje pozostałym częściom opowieści, ale mimo wszystko film powinien należeć do najbardziej udanych. Drapeżny talent Scibora-Rylskiego i równie drapeżny Kawałowski — oto małżeństwo doskonałe...

Jeśli do omówionych dodamy cztery skierowane do produkcji scenariusze Meissnera, Nizurskiego, Dygata i T. Kwiatkowskiego, otrzymamy sześć filmów, z których tylko trzy (50%) mówią o współczesności („Cień”, „Zrepta”, „niezłoty”). Druga połowa ucieka w bliższe i dalsze mroki dziejowe. Nie mamy nic przeciwko filmom historycznym i kostiumowym, ale jakieś proporcje zostały chyba zachowane. A poza tym martwi ogólna liczba — tylko sześć filmów!

Co nie będzie zrealizowane? Aleksander Ford, mimo długich przygotowań, zrezygnował z realizacji „Trudnych ser”. Tym samym nie zanosi się na żaden film o problemach wsi. Dawniej, zdaje się, robiono filmy wiejskie na myśl zasady „lepiej słabe, niż żadne”. Teraz widocznie formuła uległa zmianie: „lepiej żaden, niż słaby”. A może jednak znalazłoby się trzecie wyjście?

Nie będzie również realizowana filmowa wersja „Panny Maliczeńskiej” — nikt nie wie, z jakich powodów. I w tym wypadku zaniechano filmu po długich przygotowaniach, po próbach zdjęciach. Wbrew świetnej podobno koncepcji artystycznej scenariusza (związanie akcji dramatu ze środowiskiem cyganerii krakowskiej, z „Zielonym Balonikiem”).

Wreszcie nie będzie realizowana „Sprawa Szymka Bielasa”. Wbrew powszechnej i głosnej opinii, że jest to najlepszy polski scenariusz. Wbrew palącej potrzebie filmów o młodzieży robotniczej, DMR-ach...

Tym razem to informacja, a nie przepowiednia. W każdym razie, oby się nie sprawdziła, obym się okazał złym prorokiem.

j-ert.

Nr 6 „Kroniki” ukaże się 14 lipca br.

REDAGUJE ZESPÓŁ
WYDAJE ZWIAZEK LITERATÓW
POLSKICH
Oddział w Łodzi
NAKŁADEM RSW „PRASA”

Adres Redakcji:
Łódź, Piotrkowska 96, I p. Tel.: 244-79
Rękopisy nie zamawianych
nie zwraca się

Prenumeratę miesięczną wnoszącą
zł 2,40 przyjmują Urzędy Pocztowe
i listonosze.

Zakł. Graficzne RSW „Prasa” — Łódź,
Zwirki 17. Zam. 2130. Pap. druk. sat.
60 g, V kl. VII. 55. D-6-5650



Pięcka
z ogona

JASNOTA BIAŁA

„Nowa Kultura” z 5.VI przynosi wiersz Wł. Kopalińskiego, zawierający słuszną satyrę na małą zjadłość przyrody wśród współczesnych literatów.

Nasze zastrzeżenie wywołuje tylko jeden szczegół:

„...Zadumał się poeta, na pędy, na zielsko
Pozierając, tudzież na badyło.
Westchnął, przymknąłszy oczy marzycielsko.
I przysiadł sobie na chwile.

Lecz, o zgrozo, siadając, przyniósł jasnotę białą!
A jasnota broni się godnie!
Parzy nawet przez płócienną spodniel”.

Radzimy całej Redakcji „Nowej Kultury” wraz z autorem wiersza znaleźć jasnotę białą (Lamium album vel pokrzywę głuchą czyli martwą) i zbiorowo ją przynieść. Zapewniamy przy tym, że śmiało można to uczynić nawet bez płóciennych spodni!

GAZETKA

Koło TPP-R pracowników Powszechnego
Domu Towarowego w Łodzi ma swą gazetkę
ścienną. Pokusiło się nawet o numer sa-

JERZY MILLER

PETYCJA

Wreszcie nam, Filmie Polski, zdradź,
kto „atlantycznej” nudzie winien,
kogo do diabłów mamy stać
za akceptację i opinie!

Można by dźwignąć trzy szpitale
za cenę filmu-niewypału.
Kto odpowiada za skandale
„eksperymentów”? Jakże ciału?

Wymień z imienia i nazwiska
tych wszystkich, co swe „placet” dali.
Niechaj pokażą się nam z bliska,
odarci z urzędowej gali.

Wyjaw sekrety biurów „ampir”,
sejów i tek z kożłowej skóry,
bysmy wiedzieli jaki wampir
przyklasnął narodzinom bzdury!



JAN SZTAUDYNGER

GRUCHANIE DEWOTKI

ONA I JABŁKO

Dewotka nawet kiedy grucha,
To w imię ojca, syna, ducha.

Ona wiosną się rumieni
A jabłko na jesieni.
To rumieniec przychodzi,
To odchodzi z wiekiem,
Chyba lepiej być jabłkiem,
Niżeli człowiekiem.

STANISŁAW JERZY LEC
NA MAGDALENĘ
SAMOZWANIEC

Choć jej czoła nie zdobi ruskich ksiąg mitra,
i dat biograficznych sądząc, jest córką Dymitra.

ODA DO MŁODOŚCI

DO JANA SZTAUDYNGERA

Nim pomyślicie o miłosnej ucieczce,
Pierwej się uciecie.

Piewco sempiterny,
pozostań jej wiemy!

RÓŻNICE

ZENON DUNAJCZYK

Nie pojmuje głodnego sytu,
bo ich różni apetyt.

ŁÓDŹ GÓRA

Aktorom Teatru Nowego

WSTRETY

Zawsze kobieta więcej krzyje wstretów
Do opieszalych, niżli do notrętów.

Toć w tej materii losy wyraźnie
łodzianom idą na rękę.
Nowy już dzisiaj sprawia nam „łaźnie”
nim nowe — da nam łazienkę.

CZESŁAW SCHABOWSKI

Bębniśta

GRYZAK był niezłym bębniśtą. W zespole, ze swym szwagrem Jakubowskim i szwagrem Jakubowskiego, Walenciakiem, grał doskonale.

Grywali po weselach, na zabawach ZMP i OSP i tam Gryzak „wybębnił” sobie — jak mawiali ludzie — sympatyków. Umiał przy bębieniu pokazywać takie cudaczne wygibasy, że nawet panu ludemu, biorącemu za żonę w wianie ponad 20 latek więcej, niż sam miał — przyszłe życie zdawało się radosne i miłobudne, niczym z rówieśnicą.

Kiedys wytypowano Gryzaka na przewodniczącego prezydium GRN. Zdawało się, że skoro Gryzak daje sobie świetnie radę z nutami, tedy poradzi sobie i z \$\$, które, acz bardziej są skomplikowane, niżli jakieś doremfiasole, to jednak nie działają na słuch, tylko na nerwy. A naród wsiowy, wiadomo, jakie ma silne to nerwy. Trzeba też powiedzieć prawdę, że Gryzak wzbierał się, ale sekretarz KG, jego ziomek i sąsiad, przekonał go: — Ludzie! Ignaj do ciebie. Wiesz o tym. — To za bębnek, za wygibasy muzyczne... Nie za skup, za siew... — Wrobisz się. Zobaczysz, że się wrobisz.

Zostawisz przewodniczącym, Gryzak nie zrezygnował z bębna. Szwagrom było nieco głupio, że to przecież przewodniczący i tego... wygibasy. Ale teraz nieli jeszcze większe wzięcie, zwołacza u kulackich panów młodych, przeto nie sprzeciwiali się.

O ile jednak sprawy muzykantów miały się nieco lepiej, o tyle interesy gromady wyglądały coraz gorzej. Gryzak chętniej „urzędował” na weselach, niż w prezydium. KG zaś zamiast zarządzić, starać się o innego człowieka, postanowił żw. „mciem głowy” wychować „głowę gromady”. Więc „myto” biedakowi głowę za skup, za siew, za omloty, za GOM i POM.

— Towarzysze, zlitujcie się! — błagał Gryzak. — Niezdarnym! Do bębna tak, ale do prezydium... Szkoła gadać!

— Masz się wrobić — złościł się sekretarz KG. — Wolałbym się wienić do jakiejś wdowy z miedziem bachorów, niż wrobić się do gromady. Niezdarnym!

— Trzeba się uzdatnić! — nalegał sekretarz KG. — Człowieka z ciebie robimy! — Gożej, bo np. przyjeżdża do prezydium instruk-

tor do walki ze stonką, a tu Gryzaka nie ma. Dają człowiekowi wiceprzewodniczącego, sekretarza prezydium, referenta finansowego, nawet pełnomocnika skupu, a tamten: Nie i nie. — Jakże! — powiada. — Ludzie! Stonka i bez Gryzaka?

Wtedy sekretarz wola jedną z koleżanek: — Henia! U kogo dziś wesele?

— U Gołębczaków.

— Pełń duchem po Gryzaka! Niech zaraz przyjdzie, tylko... — Tu sekretarz oboma rękami pokazał wybijanie taktów na bębnie i dodał: — Bez tego... wiesz...

Bo niekiedy, gdy odwoływano go z „terenu”, Gryzak, „rozweselony” aż do czerwoności, zapomniał się i brał do prezydium bębnek.

Dochodziło to do powiatu. Oburzano się: „Zdjęć Gryzaka!” Lecz KG uparł się „wychować” bębniśtę i ani rusz. Zaczynały się zaraz targi telefoniczne i osobiste. I powiat ustępował.

Przybył też raz do gromady przewodniczący prezydium PRN w czasie, gdy Gryzak grał na weselu. I też: dają gościowi zastępcę, sekretarza, referentów takich i siakich, lecz gość nie i nie. Tedy sekretarz do Heni: — U kogo dziś wesele? — U Pietruchy.

— Niedobrze. Przecież to 5 kilometrów! Do tego Pietrucha — kulak.

Przewodniczący prezydium PRN przyjechał wozem służbowym, więc rychło dostał się do Pietruchy i

Artur Gliszczyński

Artur Gliszczyński słusznie jest nazywany „pierwszym poetą łódzkim”, choć formalnie miano to należy się chyba Wiktorowi Dłużniewskiemu, autorowi „Pierwszych zasad gramatyki niemieckiej”, „Poglądu na dzieje ludzkie” i wydanych w r. 1887 w Warszawie dwóch gawęd: „Paweł Łódzia Kubowicz i Scholastyk i Sześć...”

Gliszczyński nie był rodowitym łodzianinem: wykształcenie odebrał w Warszawie, w Łodzi przebywał w latach 1890—1901 jako miejscowy dziennikarz, działacz kulturalny i jednocześnie korespondent pism warszawskich.

W jego gawędach lirycznych, w pisanych rymowaną prozą obrazkach i utworach satyrycznych występują typy łódzkie i sprawy łódzkie w sposób wyraźnie świadczący o dużej wrażliwości i o dużym zmyśle realistycznym poety.

Znajdujemy w tej twórczości echa pierwszego buntu robotników łódzkich w r. 1892 oraz echa wydarzeń z lat 1905—1907.

Oddzielnie wydał trzy tomy: „Z mroku i dymu” (1901), „Obrazki” (1907), „Humor i satyra” (1912).

Twórczość jego, nawet przy najbardziej krytycznym podejściu, niewątpliwie zasługuje na książkowe omówienie i przypomnienie.

Jak dotąd, najwięcej danych o tej twórczości zawiera praca Zygmunta Hajkowskiego, wyd. w 1939 roku.

NAJWIĘKSZY

KANTOROWICZ

Niech sobie plecie
Głupia hołota,
Że na tym świecie
Potrzebna cnota.

Od świtu do zmroku
Nad biurkiem schylony —
Ze szkieletem na oku —
Cyfr pisze miliony.

Trzy razy plajtnął
Mój ojciec stary,
Okpił cnotliwych
I miał talary.

Lub łokcia i sklepu
Służebnik ofiarny
Rozwija, zachwala
I mierzy kamary.

Do tych talarków
Pokażnej miarki,
Jam dwa zaledwie
Dodał podarki.

Ma skromne potrzeby
I pragnień krąg ciasny —
Ot... panna z posagiem
Lub „geszefcik” własny.

A że nasz przemysł
Rósł jak szalony —
Więc w cztery lata
Mam dwa milony.

Lecz nim te pragnienia
Ulegną spełnieniu,
Gardluje i porządek
Rej w „stowarzyszeniu”.

Syn ma przyjaciół
W arystokracji,
Zwą go baronem
Nawet w Abacy.

Zarządy, prezesów
Obala bez racy!
I wiele rozprawia
O swej demokracji.

Ja zaś spełniając
Stanu powinność —
Dam co rok tysiąc
Na dobroczynność...

Są inni — nie przeczę —
Dzielniejsi młodzieńcy,
Lecz coż ja poradzę —
Gdy tamtych najwięcej.

NASZ KWIAT

Wre spór w Kurierze, jaki by wybrać
Dla Polski kwiat?
Ten pragnie bratka, ta pelargonii,
Ów mak mieć rad.

Inna wybrała już niezapadkę,
Ktoś znowu wrzos,
Wreszcie na gwoździk i na fiolelek
Dano swój głos.

A ja, wpatrzonej w cierniową dolę
Ojczystych chat,
Nad wszystkie inne kwiateczki wolę
Cierniowy kwiat.



Liryka...

Rys. K. Baraniecki

CZESŁAW SCHABOWSKI